

BIBLIOTEKA „SZKICOW” T. 1.

TRZECI MAJA.

DRAMAT HISTORYCZNY W PIĘCIU AKTACH

przez

B. BOLESŁAWITĘ.

W KRAKOWIE,

WZCIĄGAMI Drukarni „CZAS”

pod zarządem Józefa Łukosińskiego

1870.



TRZECI MAJA.

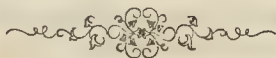
Osobne odbicie ze »Szkiców społ. i literackich.«

TRZECI MAJA.

DRAMAT HISTORYCZNY W PIĘCIU AKTACH

przez

Ł. BOLESŁAWITĘ.



W KRAKOWIE,

CZCIONKAMI Drukarni „CZASU“

pod zarządem Józefa Zakocińskiego.

NAKŁADEM REDAKCYI „SZKICÓW SPOŁ. I LITERACKICH.“

1876.

Krasz-513

O S O B Y :

WOJEWODA, (lat 60, strój francuzki).

KSIĘŻNA MARYA, jego córka, wdowa, lat 25.

STANISŁAW KIERDEJ, poseł na sejm, lat 30 (strój polski).

AMBASADOR, lat 50 kilka, (strój francuzki).

DASCH, sekretarz jego, lat 40 (strój francuzki).

HETMAN, lat 40, (strój francuzki).

PANI KASZTELANOWA, lat 30 kilka, elegantka.

KAPITAN ZAPONI, (strój francuzki).

KILIŃSKI, majster szewc

MORAWSKI, rzeźnik

DĄBSKI, stolarz

TOMAŃSKI, ślusarz

OBERMANN, krawiec

} mieszczenie warszawscy.

JENERAŁ KURDWAŃOWSKI, (mundur wojskowy).

Ks. MARSZAŁEK, (strój francuzki).

ZAJĄCZEK, pułkownik.

SUCHORZEWSKI, poseł (strój polski).

ŻEBRAK, lat 60 kilka.

FELCZER, lat 20 kilka.

SŁUŻĄCY.

CHŁOPAK.

KAMERDYNER Wojewody.

Goście na reducie — tłum ludu — kilku posłów —
strój polski.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w maju 1791 r.



A K T I.

Teatr przedstawia obszerny pokój przy sali reutowej w pałacu Radziwiłłowskim. W głębi przez drzwi otwarte widać drugą salę oświetloną rzęśisto, pełną masek i dominów. Zdala słyszeć muzykę, która gra poloneza Ogińskiego. Niekiedy maski z sali wbiegają do pokoju, pary wchodzą szepcząc pocichu. Wprawo przez drzwi otwarte widać salkę, w której stół suknem okryty, gęsto obsiedli gracze faraona. Po za ich krzesłami pełno widzów, stawiających także. Gra ożywiona, wykrzyki: Parol — Mażo. Set — lewa i t. p.

SCENA I.

KIERDEJ, w domino narzuconem na ramię, bez maski, wchodzi z sali i ogląda się wkoło. Naprzeciw sceny stoi maska w stroju Żebraka, o kiju, różaniec u pasa, torba przez plecy, długa broda siwa. Kierdej obejrzawszy się i spostrzegłszy Żebraka, chce odejść, ten go wstrzymuje.

ŻEBRAK.

Przezacny panie! daj grosik jałmużny zebrakowi, dopóki sam o nią jeszcze nie prosisz! Cha! cha!... Znam cię panie Stanisławie Kierdeju, podczaszycu i pośle na sejm!

Wszak tak? Niedawno przybyć musiałeś do téj kochanej Warszawy? Dobrze robisz, że nie tracąc czasu, bawisz się. Trzeba życia używać, bo go nie na długo stanie... a! nie-długo... pójdzie wesoło ze skrzypkami na tamten świat ko-chana ojczyzna, pójdzie z vivatami sumienie, z kartami ma-jątek, z długami ziemia... a nareszcie i wstyd z czoła... Tralala! tralala (*okręca się*) tańcząc wesoło i kręcąc się wkoło, dostaniemy się do kajdan i więzienia... tam spo-czniemy. *Si finis bonus laudabile totum!* Cha! cha!

KIERDEJ.

Gorzkie słowa! ale któż waćpan jesteś, że z niemi wy-stępujesz?

ŻEBRAK.

Ja? Polak jestem! łachmanami temi wyprzedziłem tylko innych. Prorocze to łachmany!... wkrótce je włożycie wszy-scy. To przyszły mundur narodowy! Cha! cha! pójdziemy w nim na urągowisko świata po żebranie, gdy nasze pa-łace przepijem i folwarki poprzejadamy... Ale, nie ma co mó-wić — za to my się i bawili, i hulali, i napili, i najedli po uszy... hop ha! niech sobie dzieci niestrawności dostaną!

(*wskazuje na graczów*)

Patrzajcie, tam przy tym stole jak moskiewskie złotko wesoło brzęczy. Wczoraj się za nie posprzedawali, a dziś je moskalom nazad przegrywają. *Va banque* sumienie! kto da więcej? To mi dopiero chwaty, żaden się nie zmarszczy, gdy duszę djabłu przegra.... Hulaj dusza bez kontusza, szukaj pana bez żupana i leż w błoto po kolana!! (*ręką rzuca z pogardą*).

KIERDEJ.

Nielitościwy człowiecze... kto ty jesteś? co tu robisz! słowa twoje jak żar mi padają na duszę.

ŻEBRAK.

Kto jestem? żebrak a Polak, to synonimy... Diogenes jestem szukający z latarką uczciwego człowieka w niepoczci-wym tłumie.... Dajże mi grosz, abym i ja miał co przepić?...

Pospieszyłem się i przepuściłem ojcowiznę, macierzyzną, krwawicę dziadów, majątek dzieci. Albow to ja pierwszy, albo ostatni? Drudzy ojczyznę ze skóry drą i przepijają, drudzy sumienia licytują: kto da więcej, moskal czy prusak? aby było czem błysnąć — a ja tylko żebrzę... toć szlachetniejsze rzemiosło!! Żebak jestem, ani się wstydzę... dajże dukat żebrakowi!

KIERDEJ.

O mój Boże — co za bolesne urągowisko!

ŻEBRAK.

Wy bawicie się wszyscy... a czemubym ja nie miał się też zabawić? WPan, panie podczaszycu, pośle na sejm, przybyłeś może dopiero wczoraj albo dziś do Warszawy! a już skoczyłeś w ukrop, i pierwszy krok zamiast do kościoła, na redutę. Otóż to lubię, nie marnujesz czasu... Co masz jutro jeść, zjedz dziś — a co masz zrobić dziś, odłóż na jutro. To lubię... nieodrodne dziecko z waćpana.

KIERDEJ (*chwytając go za rękę*).

Słuchaj! na Boga... ja tego znieść nie mogę, co ty mi rzucasz w oczy. Nie wiem, kto jesteś, mógłbym pogardzić szyderstwem i zmilczeć — ale nie chcę... Tak jest! przybyłem zaledwie przed kilką godzinami, to prawda, alem tu biegł nie bawić się, bo mi na sercu nie zabawa, szukam tu znajomych i przyjaciół moich, aby co prędzej dowiedzieć się co mam czynić. Chwili pono do stracenia nie ma, kto chce ojczyźnie służyć.

ŻEBRAK.

Chcesz się dowiedzieć, co się u nas święci — a no! tom ci wszystko powiedział!

KIERDEJ.

A! nie! tak źle nie jest, na Boga to co mówisz, było; ale musi być inaczej.

ŻEBRAK.

Cha! cha! myślicie! Toście snąć ze wsi przyjechali, albo ja mam wzrok, co zbyt daleko widzi naprzód?... Tak

było, panie pośle, i tak będzie... kilku pocziwych karki pokręci, łajdaki na kiel wezmą, i wóz na przepaści poniosą. Dajmy pokój, nie ma o czém mówić!

Ale, prawda? zato reduta jaka wesoła, i co pięknych pań, a jakie to miłe, potulne przylepki, szczebiotki, pieszczoszki. Serca otworem dla swoich i obcych... zajeżdżaj tylko jak do karczmy! Posłuchaj, co to za wdzięczne głoski ich papuzie, gdy po francusku romansują z tymi nieoszaczanymi jenerałami rosyjskimi... ludźmi najlepszego towarzystwa... cha! cha! aż się serce raduje.

KIERDEJ.

Człowiecze! zkądże ci taką goryczą napłynęło serce dlaczego mnie częstujesz tém? czym zasłużył?

ŻEBRAK.

Nie wiem... Częstuję cię, aby bolało, aby kipiało w tobie każde słowo moje, aby się wypiętnowało na twój duszy, i śniło ci się nocą i truło ci dnie wesela.

KIERDEJ.

Jeśli to lekarstwo i przestroga, dziękuję ci, przeczułeś, że słowo twe nie padnie na skałę.

ŻEBRAK.

Zaraz po mowie poznać, żeś asindziej wczoraj ze wsi, i jeszcze świeży, przyniósł z sobą pocziwsze wiejskie uczucie, mniej zepsute serce — kto wie, co z niem jutro się stanie? Oplotą cię białemi dłońmi czarownice, spoją cię kielichami trucizny dobrzy towarzysze, obalamucą sofizmatami politycy, zastudzą rozumem dyplomatycznym mężowie stanu... i moje słowa wydadzą ci się sprosnym jakubina paszkwilem...

KIERDEJ.

Nie dopuszczaj Boże! przybyłem tu z gorącą miłością ojczyzny w sercu, spodziewam się z nią całą i nietkniętą a pomnożoną powrócić. Żaden Kierdej zdrajcą nie był, żaden tej miłości nie postradał...

ŻEARAK.

Bylebyś tu jój, kochany pośle, na inną jaką miłość, po-

śledniejszego gatunku nie pohandlował.... Może być równie gorącą, a daleko mniej wartą.

KIERDEJ.

Dlaczegoż mi wróżysz tak smutnie?

ŻEBRAK (*wzdycha*).

Bom stary, bo znam świat i te polskie, miękkie serca wasze, które rozgotowało na galaretę próżnowanie... Sobieskiego rycerze, ostatni... poszli ze świata bezpotomni, przy nich miecze i żelaza pochowano, a puchy dla nas zostały... Sasi piastuni dzieci nam w kolebkach pomieniali... a wié Bóg, co czyni... bo pokolenie, które zakują w kajdany, nie będzie się darmo szamotać i kowala w ręce pocałuje, byle mu dał zacierki.

KIERDEJ.

Krwawisz mi serce, stary — alboż by już nie było żadnego dla nas ratunku?

ŻEBRAK.

Kto wié! kto wié! trzebaby redutowe sale podpalić, pałace powywracać, stoły gry zdruzgotać, piękne panie na rekolekcyje, a rozkosznisiów na dyscypliny skazać... trzeba się wytrzeźwić i z rozpieszczonych Sybarytów poprzerabiać na rycerzy, a z połamanéj rzeczypospolitéj zrobić nową i żelazną, aby jéj ani kule złote, ani kamienne nie wzięły.... Kto wié? kto wié?

KIERDEJ.

Mów, słucham cię! Dokąd, z kim iść... Znasz mnie, wiesz, że posłem jestem, a za mną pójdą posłowie mojego i kilku moich województw. Mam wpływy, pragnę dobra... Szukam światła i drogi.

ŻEBRAK (*trzęsąc głową*).

Źle mówisz! Biada tym, którym drogę wskazywać potrzeba, sameś ją znaleźć powinien, wskaże ci ją sumienie... Ale się nie daj obłąkać fałszywym prorokom, a pomnij, że prawda nagą jest i maską się brzydzi, a nikczemność i podłość wszystkie twarze przybiera, nawet cnoty.... Gdy ci

brudne usta czystość patryotyczną zalecać będą, nie wierzę im, bo z brudnego źródła zdrowa woda nie płynie.

KIERDEJ.

Mówisz zagadkami.

ŻEBRAK.

Więc zmilczę, bo inaczej nie mogę. Nazwiskami mówić nie chcę. Znajdziesz patryotyzmów dużo, kochanków złotych wolności dla siebie a żelaznej niewoli dla drugich, bez miary; republikańców wściekłych z orderami moskiewskimi, Polaków heroicznych co pensjami obcych żyją, i mądrałów słownych, których pycha wydyma... wszystko to fałsz i zgnilizna.

KIERDEJ (*biorąc go za rękę*).

Przez usta twoje czuję płonącą prawdę... nie kryjże się przedemną, powiedz mi, kto ty jesteś.

ŻEBRAK (*odstępując nieco*).

Co ci potem? jam jeden z trupów zamordowanego narodu, widmo przeszłości! Kierdeju! Kierdeju! na granicach Polski bieleją kości pocziwych dziadów twoich, krwią ich zafarbowana chorągiew polska purpurowa, po której biały orzeł płynie... bądź ich godnym, bądź czystym.

(*odchodzi ku reducie*).

SCENA II.

KIERDEJ sam; stoi jakiś czas zamyślony, nic nie mówiąc.

Zaprawdę dziwny człowiek, dziwne słowa, i — gdzie! tu... na reducie. Nie mogła mi opatrność lepszej na wstępie zesłać przestrogi, u progu nowego życia, nad te gorzkie i boleści pełne słowa... człowieka w sukni żebraczej a majestacie królewskim...

(*ociera czoło i ogląda się*).

Lecz gdzież jest? zniknął gdzieś w tłumie. Muszę iść,

odszukać go, poznać bliżej. Dojdę, kto to taki... wszak mnie znał, i ja go znać muszę. Gubię się w domysłach....

(chce odejść).

SCENA III.

KIERDEJ — KSIĘŻNA przebrana za pasterkę, w maseczce, z koszykiem róż na rękę i huleką wstążkami oplecioną, nadbiega żywo. Spogląda na Kierdeja, cofa się, patrzy długo; krzyk stłumiony wyrwa się z jej ust. Zbliża się nagle do podcasyca i mówi głosem zmienionym.

KSIĘŻNA.

Dobry wieczór! Stasiowi!

KIERDEJ.

A! znasz mnie maseczko?

KSIĘŻNA.

Znam! dawno! doskonale! Podcasycu? cóż ty tu robisz w Babilonie?

KIERDEJ.

Gościem jestem; a ty?

KSIĘŻNA.

Ja? niewolnicą!! Jak widzisz... różami przysłoniłam pęta... chcę zapomnieć bólu... okryłam się szatą pasterzy, marzę o kraju sielanek. Chcesz być moim Korydonem na godzinę?

KIERDEJ.

Zgubiłaś w tłumie prawdziwego... a nużby się znalazł, byłoby nas dwu... to nie miło.

KSIĘŻNA.

Nie miałam Korydona. Trudna jestem w wyborze... chcę, żeby miał serce, a w Warszawie one od téj spieki poschły.... Chcesz być moim Korydonem?

KIERDEJ.

Piękna maseczko, żartujesz ze mnie... nie wyglądam na romansowego pastuszka, jestem za stary i za smutny.

KSIEŻNA.

Chyba za skromny... lata... mogłabym ci policzyć; ale dlaczegożeś smutny?

KIERDEJ.

Któż na cmentarzu wesołym być może? a Polska dotąd cmentarzem. Gdyby nawet jój lepij było, mam ja własną na dnie serca żałobę.

KSIEŻNA.

A, po kim?

KIERDEJ.

To moja tajemnica.

KSIEŻNA.

Ja jestem wrózką! czybym nie odgadła?

KIERDEJ.

Wątpię....

KSIEŻNA.

Żałoba? po kobiecie... po kochance? nie prawdaż?

KIERDEJ.

Nie dawajcie jój tego nadto pospolitego imienia; nie była ona moją kochanką, ale moim ideałem.

KSIEŻNA.

A! nie zgadnę chyba... jam sobie myślała, że może ci tęskno po dobrej twój siostrzyczce, przyjaciółce młodości. Pamiętasz, ona była dzieckiem prawie, ty ledwo chłopięciem, serca się wam zawcześnie otwały. Przysięgaliście sobie po księżycu, mienialiście proste pierścionki. Ona miała złote pukle włosów, ty ciemne, a imię jój było....

KIERDEJ (*żywo*).

Marya! (*chwytając ją za ręce i cofa się prędko*) A! nie, to być nie może! Zkądże ty to wiesz maseczko?

KSIEŻNA.

Jestem wrózką... wiem co było, czuję co będzie.

KIERDEJ.

Więc i to wiedzieć powinnaś, że owa siostrzyczka była moim ideałem, jedynym... i to wiedzieć musisz, że złoto-

włosy aniołek, Marya, złamała pierwszą przysięgę i poszła w obce, nienawistne objęcia, dla tytułu i dla złota. Umarła dla mnie, pogrzebałem ją! opłakałem na wieki!

KSIEŻNA.

I potępiłeś zdaleka....

KIERDEJ.

Bom ją kochał.

KSIEŻNA.

A teraz, teraz już jej nie kochasz?

KIERDEJ.

Kocham umarłej wspomnienie; a jeśli jest żywą, wołałbym ją może umarłą.

KSIEŻNA.

Któż więc? i ona może wołałaby była umierać, niż złamać wiarę — ale nie zawsze umrzeć się godzi i można, gdy się pragnie śmierci, a czasem... wielką ofiarą trzeba okupić rodziny wstyd, siwych włosów spokój; trzeba swoje szczęście poświęcić, aby na cudzą nie patrzeć niedolę.... A! ludzie, ludzie, nie sądźcie nigdy, ani rzucajcie kamieniem, bo możecie zabić niewinnego.

KIERDEJ.

To dla mnie dziś dzień zagadek i tajemnic. A! jakżebym chciał podejrzeć tę maseczkę i dowiedzieć się, kto jest tą piękną pasterką, tak wymownie umiejącą bronić cudzej sprawy!!

KSIEŻNA.

Jakto cudzej? sprawa to kobieca, zatem nasza i moja, a codzień się niestety powtarzająca. Każda z nas bronić jej może! myśmy wszystkie ofiarami!

KIERDEJ.

O! piękna wróżko! zapominasz, że i nas wielu pada ofiarą waszą. ...

KSIEŻNA.

Bo wy nas uczycie okrucieństwa! my się potem mścimy tylko. Tak, ocieramy łzy, a rzucaamy się na pastwę... i na-

pawamy się z rozkoszą waszemi łzami i śmiejemy z waszych męczarni. Tak . . . ale ja niedarmo pasterki mam suknię. . . serce moje nie tak okrutne, przebaczam chętnie, lituję się boleści. . . Stasiu Korydonie, dasz mi rękę do przechadzki po sali?

(podaje mu rękę, Kierdej się waha).

SCENA IV.

CIŻ. ŻEBRAK powraca z sali, wpatruje się w pasterkę zmięszaną i wyciąga rękę ku niej.

ŻEBRAK.

Dajże pani grosik jałmużny dla biednego bankruta, którego już żadna w świecie kobieta, nawet żadna z tych co kochają wszystkich, kochać nie zechce. Wszak to litość obudzać powinno! Stary i ubogi! nie jestże to największe nieszczęście, choćby był świętym i najczcigodniejszym? Stary i ubogi!

KSIEŻNA

(po namyśle różę wyjmuje z koszyka i daje mu ją z ukłonem).

To moja jałmużna! bierz i idź!

ŻEBRAK.

Róża głodnemu i spragnionemu! cha! cha! to godne kobiety! Ale zawsze za nią wdzięcznen być muszę! *(przypina ją do łachmanów)* Róża na łachmanach, jak to ładnie wygląda, ale jak mi żal biednego kwiatka! wygląda niby młoda panienka, którą za starca wydano. Pozwólże piękna pani, abym ci się za tę jałmużnę wywdzięczył. Nie mam czém inném, tylko przedstawiając cię ładnemu jegomości świeżo przybyłemu do Warszawy, który nie miał jeszcze czasu w nikim się zakochać i być przez kogoś złapanym. . . . Jest wolny, na łup ci go daję, piękna pasterko. *(wskazuje na Kierdej)* Ale muszę téż przedstawić panią jak należy.

KSIEŻNA.

O! bardzo proszę! nie znasz mnie.

ŻEBRAK.

Kogo ja nie znam! Czyżbyś się miała lękać?? Ja mu tylko powiem dziś, co od innych dowiedziałyby się jutro. . . .
(*zwraca się do Kierdeja*) Podczaszycu Kierdeju! przedstawić mam honor miłości waszój (styl stary bez złej myśli) źle ukrytą pod tą maseczką i skromnym strojem pasterki, jedną z bogiń Warszawy. Złote jój włosy i niebieskie oczy śpiewają poeci w sutannach, szaleją ci co w nie patrzą. Piękna ta pani jest wdową, jest wolną, a ma adoratorów bez liku, krajowych i zagranicznych. Wszystkie cztery części świata w niej się kochają. Na jój skinienie poszłyby może armie monarchini północy, bo rządzi jednym z ich wodzów i despotycznie nim włada. Gdy ją widzę u jego boku, wydaje mi się jak ta różyczka przy moich łachmanach.

KSIEŻNA (*rzucając się ku niemu*).

Obrzydliwy oszczerco! to potwarz niegodna!

ŻEBRAK.

Cóż to za skromność zbyteczna! dlaczego się tak wielkiego zapierasz zaszczytu, w kajdanach twych jęczy najdumniejszy z ambasadorów.

KSIEŻNA.

Niegodziwy człowiecze! kto ty jesteś? (*chce mu zdeprzeć maskę*) Jak śmiesz. . . .

ŻEBRAK.

Przecież to chwała, zwyciężyć wodza niezwyciężonej carowej. (*śmieje się*).

KSIEŻNA.

Bezwstydnny.

KIERDEJ.

Nie masz nad nikim litości.

ŻEBRAK.

Uczyniłem to przez wdzięczność za to, że mnie tą wonną obdarzyła różyczką. Nie przynosił jój to chluby, że włada

reprezentantem najpotężniejszego mocarstwa, że dla niej kosztem skarbu imperatorowej fajerwerki się palą i z dział moskiewskich w dzień jej imienin dają ognia? Jeślibyś zgrawszy się w faraona, uczuł potrzebę wejścia w stosunki z kassą moskiewską, poleć się tylko jej protekcyi. Paktol ci w kieszeń popłynie.

KSIEŻNA.

To okropne! Kierdeju! ratuj mnie! Ten człowiek! ten człowiek śmie... *(płacze)* znęcać się potwarzą nad bezbronną kobietą. Cóż ty pomyślisz o mnie! O Boże!

(Żebak wymyka się, ukłoniwszy).

KIERDEJ *(zbliżając się do księżnej).*

Uspokój się pani.

SCENA V.

KIERDEJ, KSIEŻNA.

KSIEŻNA *(łkając).*

Usłyszeć rzuconą w oczy potwarz taką, być obluzganą błotem i to w oczach człowieka, przed którymbyś najbardziej pragnęła okazać się czystą i niewinną... O mój Boże!

(Zdejmuje maskę).

Poznajesz mnie?

KIERDEJ.

Marya! serce moje dawno cię przeczuwało. To ty!

KSIEŻNA *(smutnie).*

Tak — ja, to ja jestem! ja, ta wiarołomna Marya twoja, ten trup, który pogrzebałeś, i zjawiam ci się przedstawiona przez tego nikczemnika, jako kochanka ambasadora. A! cóż ty pomyślisz o mnie. Tego ciosu brakło mi jeszcze.

KIERDEJ.

Uspokój się pani, proszę.

KSIEŻNA.

Łzy moje połknęłam, widzisz, już jestem spokojną.... ale, przysięgam ci, Stanisławie, ten człowiek skłamał bezczelnie! (*placze*). Jam niewinna, tak, jam niewinna.... Ja nigdy niczyją nie byłam kochanką, oprócz gdym dzieckiem kochała ciebie. Odtąd serce pustką stało.... Posłuchaj mnie, chcę, byś wiedział wszystko. Znasz ojca mego. Nim dorosłam, majątek matki i jego był stracony, my przywiezieni do ubóstwa, gorzej, bo do — sromotnego bankructwa; ocalać jego honor, musiałam rękę oddać staremu księciu.... Męczarnią stało się dla mnie odtąd życie, słodziła je pamięć spełnionego obowiązku. Ja długie lata marzyłam o tobie, gdy ty — potępiłeś mnie. A! nie mogłeś inaczej, przebaczam ci krzywdę moją. Zmarł książę, zostałam wdową; ale rodzina zabrała po nim wszystko. Taż sama groźba ruiny, która wisiała nad głową ojca mego, powróciła straszniejszą jeszcze. (*spuszczając oczy*). Ratuując nieszczęśliwego, nieraz się może musiałam uśmiechnąć temu, którego żebrak niepoczciwy nazwał kochankiem, a który jest moim prześladowcą. O! przysięgam ci, ja się nim brzydzę.

KIERDEJ.

Wszak nie przestałaś być Polką....

KSIEŻNA.

Jestem nią! jestem gorętszą może, niż byłam kiedykolwiek. I na to ci poprzysiędz mogę, a nie ma nieszczęśliwszej nademnie istoty na świecie. Ty, coś mnie pogrzebał, za-bolej nad umarłą. Tak Stanisławie, jam Polką, i wierzę, że ojciec mój Polakiem jest, przecież przekonania jego tak się różnią od moich, a ludzie tak są w sądach niesprawiedliwi i porywczy. (*zakrywa oczy*). A! nie każ mi mówić reszty.

KIERDEJ (*ściska jej rękę*).

Uspokój się pani. Niewymownie mi przykro, że z mojej przyczyny cierpisz tyle. Gdybym był mógł uchronić cię od tego....

KSIEŻNA.

A! nie! Los dobrze zrządził! odbolałam tę chwilę, lecz wolę, że to brzemień spadło mi z serca, że ty wiesz wszystko, że dla ciebie nie ma tajemnic....

Pomyślisz, ulitujesz się — serce twe mnie pojmie i usprawiedliwi.

(po chwili)

A! sameś to rzekł! jam pogrzebana... między tobą a mną skończone wszystko, ja nic nie pragnę więcej od ciebie, oprócz twojego — szacunku, ale tego domagać się mam prawo! Czystą jestem w duszy i zasługuję nań....

(wkłada maskę)

Bądź zdrow, panie Stanisławie!... Nie śmiem ci powiedzieć do widzenia, nie proszę, byś chciał spotkać się ze mną, ale pamięć umarłej zachowaj czystą i zapłacz nad jej mogiłą. Łzy twe kupiłam drogo!

SCENA VI.

KIERDEJ sam, stoi długo zamyślony.

W głowie mi się płacze... niepotrzebnie tu przyszedłem... skarany jestem za to. Co za myśl dziecinna była szukać w tym tłumie rozszalałym ludzi poważnych — ci przecież gdzieindziej być muszą... pracują w ciszy gabinetów, naradzają się, myślą. Co tu za gwar!! jaka drażniąca wesołość! Jak mnie krzyki te rażą i piski niecierpliwią. Trzeba uciekać!

(zawraca się powoli).

SCENA VII.

KIERDEJ odchodzi zwolna. — Z pokoju, w którym grają, występuje chmurny i zatopiony w myślach WOJEWODA, głowa spuszczone, ręce pod frakiem

WOJEWODA (*nie widząc Kierdeja, do siebie*).

Cztery razy przeszedłem szczęśliwie — ośmset dukatów mogłem wziąć i grać potem z umiarkowaniem... ale, nie! Zawsze ten sam błąd... gorączka... stary jestem, a poprawić się nie mogę. Te kupy złota fascynacyjny na mnie wywierają urok.... Całe życie się odegrywam, i coraz głębiej brnę....

(*podnosi głowę i postrzega Kierdeja*)

A! czy mnie oczy nie mylą? Kierdej! co ty tu robisz?

KIERDEJ.

Do usług, panie wojewodo, przybyłem na sejm... posłem...

WOJEWODA.

Tak jest!! przypominam sobie, wybrano cię z Kaliskiego, byłeś chory, spóźniłeś się... ale, jakże to szczęśliwie, że się spotykamy. Dawno tu jesteś?

KIERDEJ.

Od kilku godzin dopiero.

WOJEWODA.

I wprost na redutę! Cha! cha! To mi się podoba! Chwacka ta nasza polska natura! Zamiast spoczynku, szuka gdzie wre i kipi, aby się w ukropie orzeźwić! (*ściska go*). Więc — na sejm! na sejm... bardzo rad jestem, *encore une fois*, że się spotykamy. (*bierze go pod rękę*). Powiedzże mi, jakie jest usposobienie w kraju dla tego osobliwego sejmu, dla tych wszystkich nowych praw, które tu u nas jak grzyby się rodzą... a podobno na muchomory zakrawają. — Co szlachta mówi na te swobody nadane mieszczanom, na to

poniewieranie wiekowych naszych tradycji, elekcyj, *liberum veto*, na widoczną dążność zamiany rzeczypospolitéj na monarchię absolutną. Źrenicę wolności wykałają! Cóż wy na to Ciekawa rzecz!

KIERDEJ.

Nasłuchiłem się o tém wiele. Przejeżdżałem część kraju znaczną, mówiłem z ludźmi różnymi... wszyscy niemal są zgodni i uznają, że gdzie idzie o uratowanie egzystencji, trzeba część swobód poświęcić.

WOJEWODA.

Doprawdy? doprawdy? I elekcyę, i złotą wolność, i nasze prerogatywy szlacheckie? Cha! cha! wszystko! i nam starej szlachcie, cośmy krajem rządzili i władali, zejść na posłusznych niewolników absolutnego monarchy?? Tak sądzicie? To zabawne!

KIERDEJ.

Mnie się zdaje, panie wojewodo, że godzina, w której żyjemy, nie daje nam wyboru. Kraj jest zagrożony, część jego już oderwana... bronić się trzeba. Srogi cios ten powinien nam być wskazać, że obrona dziś najświętszym obowiązkiem. *Salus reipublicae lex suprema!* Myśmy dziś prawie nie narodem, ale wojskiem, któremu idzie o pomnożenie liczby żołnierza i o wodza, choćby dyktatora!

WOJEWODA.

Ślicznie mówisz, tylko — czy się te ofiary na co przydadzą? Trzeba czasem uciec się do arytmetyki, która za politykę stanie. Nas, panie Stanisławie, garstka tylko przeciwko trzem sprzymierzonym, silnym mocarstwom... można mówić o rozpaczliwej obronie, chyba tylko o heroicznej śmierci. Zapewne, to co powiadasz, byłoby doskonałem, gdybyśmy się bronić potrzebowali, a ocalić mogli. Mnie się zdaje, że ocalenie nasze nie w tym wysiłku rozpaczliwym, ale raczej w zręczném skojarzeniu się z jednym z wrogów, któryby resztę od nas odpędził, wzięwszy nas pod skrzydła swoje. *Vous comprenez?*

KIERDEJ.

Byłoby to Polski niegodnym, a na nic nieprzydatnym złudzeniem. Ten jeden podzieliłby nas ze trzema lub pochłonał, a z miłością ojczyzny i ofiarą obronimy się choćby i dziesięciu. Trzeba się tylko podnieść do heroizmu!

WOJEWODA.

Piękne słowa, panie podczaszycu, piękne słowa, coś gdy — słowa? (*wzdycha*). Widzę, że nam się trudno przyjdzie zrozumieć.

Rozpatrz się, proszę, lepiej w położeniu, zobaczysz — zmienisz może zdanie. Idź i przypatruj się zdaleka. Znajdziesz tu ludzi różnych przekonań, i takich jak ja, i podobnych do waszych. Wybierzesz, z kim iść.

KIERDEJ.

Ja wierzę jeszcze w siły Polski, jak nasze kopalnie, tak nasza potęga leży nieużyta; trzeba sięgnąć w głąb, aby ją dobyć.

WOJEWODA.

Comparaison n'est pas raison, radbym i ja w to uwierzyć; ale stary jestem. (*z uśmiechem*) Nasze położenie geograficzne na ciężkie nas losy skazało.... (*wzdycha*) Ale dosyć smutnej tej materyi.

Dobrze trafiłeś, reduta nadzwyczaj świetna.... Kobiety w całym blasku urody... wesoło, aż ciepło w duszy. W karty nie grasz?

KIERDEJ.

Nigdy.

WOJEWODA.

Bardzoś szczęśliwy, to głupia passya, a najwięcej nas ogarnia na starość, gdy inne opuszczają.... Widziałeś tu już kogo? Nie? Zdaje mi się, że postrzegł przesuwającą się tędy pasterkę? Nie poznałeś w niej dawniej przyjaciółki i towarzyski młodości? To była córka moja, księżna Marya.

KIERDEJ.

Wiem o tém, miałem przyjemność z nią mówić.

WOJEWODA.

Odkryła ci swe *incognito*, znak wielkiej łaski... bo chciała przebiec tędy niepoznana. Spodziewam się, że musiała cię prosić, abyś po starój, dobrej znajomości i kolligacyi, o naszym domu nie zapominał. (*ściska go za ręce*) Bardzo cię proszę, odwiedzaj nas jak najczęściej. Jój i mnie zrobisz największą przyjemność. Ona ma dla was tyle szacunku, ja — wiek mnie do tego upoważnia — ojcowskie niemal przywiązanie. . . . (*ściska go*).

KIERDEJ.

Serdeczne dzięki składam panu wojewodzie. Proszę wierzyć mojej wdzięczności, ale ja tu przybywam spóźniony, z gorącą chęcią pracy... tyle jest do zrobienia! wątpię, by wiele czasu zostało!

WOJEWODA (*z ironią*).

O! sejm krząta się bardzo, ale mało robi. Hałaśliwie, krzykliwie spieramy się o nowe prawa, młodzież się gorączkuje... ale (*rusza ramionami*) no... zobaczysz sam. Bawią się dlatego wszyscy wyśmienicie, i to jest pono co sejm ma najlepszego do zrobienia. Wątpię, by co więcej dokazał... Gdybyś widział w mazurze ks. Józefa z Potocką, musiałybyś przyznać, że piękniejszej pary w Europie nie ma. Klaszczą im jak w teatrze.... Otóż co sejm robi.

KIERDEJ.

Nie pora nam tańcować....

SCENA VIII.

Ciż sami, HETMAN wychodzi z pokoju gry.

HETMAN.

Niech jasny piorun wali tego Unruha! Tysiąc dukatów na waleta... niech go szatani porwą... kręci łotr... karty świsnął... słowo daję, że kręci.

(*Kierdej chce odejść, Hetman go postrzęga*).

HETMAN.

A! Staś Kierdej! Jak się masz kochany podczaszycu! Kope lat! I ty tutaj! a to przedziwnie. *Aussitôt arrivé, aussitôt pendu.*

KIERDEJ.

Przybyłem dziś, wybrany posłem.

HETMAN.

Ah! prawda! Uściskajmy się. Wyglądasz mi jak jabłko. Przyjdź dziś do mnie po reducie na podkurek.... Zabawimy się jak djably. Spoimy Suchorzewskiego, żeby nam deklamował... Mam kilku wesołych chłopców i Kazia mojego siostrzana, który stanie za dziesięciu. Byliście z nim w przyjaźni... a ja cię kocham... popijemy się — co się zowie!

KIERDEJ.

Dziś, przepraszam, ale służyłbym nie mógł.

HETMAN (*śmiejąc się*).

Ręczę, że już ma jakieś *rendez-vous* z różowym buziakiem. Już go któraś pochwyliła! A! tu u nas w Warszawie dobrze się im bronić trzeba, by nie wpaść w matnię. No — ale, przyjdź dlatego.

KIERDEJ.

Nie mam żadnej znajomości ani zaproszenia, alem zmęczony drogą i jutro — do roboty.

HETMAN.

Do roboty? Czy cię już zaprzęgli królewscy pieczniarze?

KIERDEJ.

Nie wiem o żadnych, panie hetmanie, nikogo nie widziałem, a jak nieujeżdżony koń, zaprzęgać się nie daje.

HETMAN.

Masz słuszość, wierzgaj im w oczy. (*ściska go*) Po staremu będziemy przyjaciółmi. Mam burgunda... zobaczysz!

(*Kierdej kłania się, wyrzyna i odchodzi do sali reutowej*)

SCENA IX.

WOJEWODA, HETMAN.

HETMAN.

Dobry chłop, ale go nieochybnie pochwycą Hugoniści i mój ex-przyjaciół pan Ignacy.

WOJEWODA.

Bardzo być może — i ja się tego lękam... a że człowiek zacny, wpływowy, nie bez znaczenia, będzie nam bruździł! Hm! jeśli... *entre nous*, nie znajdziemy na to sposobu. Zdaje mi się, że mam jeden.

HETMAN.

A jaki? wolno spytać?

WOJEWODA (*cicho*).

Proszę to przy sobie zachować. On się niegdyś szalenie kochał w córce mojej, księżnie Maryi.

HETMAN (*śmiejąc się*).

I myślicie, że mu to powróci? Ale, kochany wojewodo, nic trudniej nie powraca nad starą miłość; febra łatwo, miłość rzadko.

WOJEWODA.

Z wyjątkiem tylko pierwszej miłości. Znacie francuzkie przysłowie?

HETMAN.

Znam, ale przysłowiami karmią dudków, żeby się wydawali tłuści; zresztą księżna — a! nie przeczę, gdyby chciała umarłego wskrzesi; tylko — czy zechce?

WOJEWODA.

O! powiem jej! zrozumie mnie. Musimy go wciągnąć. Gdyby go nawet pochwycił pan Ignacy, nie trzeba z nim zrywać, *il est bon enfant*, Marynia go będzie spowiadała... a my będziemy wiedzieć, co się tam święci.

HETMAN.

Otóż wiesz, że oni się teraz spowiadać nie dają, nawet po pijanemu. Do téj pory zawsze mi się zdawało, że znam najukochańszych współziomków moich — przekonywam się, że zanadto sobie pochlebiał. Polacy zawsze się tém odznaczali, że choćby który popełnił kryminał, to go zaraz wygadał. Żaden nigdy sekretu utrzymać nie umiał, lało się z nich jak z dziurawej beczki. A cóż ty na to powiesz, te łajdaki, co to się patryotami zowią, knują coś i knują w takićj tajemnicy, że i djabeł nic nie dojdzie.

WOJEWODA.

To prawda. Klubiści ci, jakubiny przekłete, nauczyli się dochowywać sekretu.... Ja jednak powątpiewam jeszcze, mnie się zdaje, że oni udają, iż coś tają... a tam nie ma w istocie może — nic!

HETMAN (*przerzywa żywo*).

Jest! jest jakaś tajemnica! Ja się znam na tém. Spisek jakiś się knuje.

Kto z nas wiedział o tém, czy się najmniejszą zdradzili rzeczą, gdy po całym kraju cicho się obwoławszy, sprowadzili nam na postrach tych łyków, mieszczan, czarno poubieranych jak grabarzy, z całej Polski, aby się o prawa miast upominali?

WOJEWODA.

Prawda, mieliśmy wówczas siurpryzę nie małą.

HETMAN.

Otóż, ja ci powiadam, oni znowu coś knują!

WOJEWODA.

Ale cóż? co? proszę pana hetmana, gdyby co było, ambasador by wiedzieć musiał, gdyby wiedział on, powiedziałby mi, to pewna... a nic nie wie!

HETMAN.

Ani on, ani ja, ani ty, ani nikt nic nie wie! W tém sęk...., przecież spisek na wolność jest, i król należy do

niego. Król, który dawniej przed babami wszystko zawsze wyśpiewywał, z którego jenerałowa dobywała co chciała... król milczy jak zakłęty, tylko czuć, że ma gębę związaną. Pan Ignacy Potocki, ten mój niegdy przyjaciel serdeczny, nie mówi nic... inni nawet upiwszy się, milczą.

WOJEWODA.

A książkę Kazio?

HETMAN.

Nic nie wie, tenby śpiewał, ale nut nie zna.

WOJEWODA.

Cóż oni knuć mogą? co?

HETMAN.

Co? djabeł ich wie? Jakąś rewolucję. Spisek? Po nocach się schodzą, zamykają, naradzają, a co najpodejrzańsza, nie mają nic do picia oprócz atramentu. Polak, co się bez wina obchodzi, spiskuje — rzecz dowiedziona. Król wieczorami, z jednym głuchoniemym Wilczewskim, wymyka się z sypialni do Piatolego, i nie wraca często aż nad rankiem, z papierami za pazuchą. Posły latają na wsze strony... listy szepty. Kołataj ma minę, jakby całego szczupaka połknął, który go dusi.

WOJEWODA.

Lecz możeż być, żeby ambasador nic nie wiedział?

HETMAN.

Ambasador — zestarzał.... już mu to Imperatorowa mówiła w Kijowie. Nigdy orłem nie był, a dziś z niego wrona. Kracze tylko usiadłszy na płocie i bawi się peruką Unruha. A że nie wie nic, dlategoby rad dowieść, że nic niema.

WOJEWODA.

Jednak, jeżeli w istocie coś jest, jakiś spisek, namby o tém wiedzieć potrzeba.

HETMAN.

Ja też pracuję nad tém, i nie tracę nadziei, że dojdę. Jeśli sobie pochlebiają, że my im się damy wziąć tak gołą

garścią, my co zbawienia Polski od Rosyi wyglądamy, my co starą naszą rzeczpospolitą szlachecką miłujemy... no — to głupi są, a nas nie znają.

WOJEWODA.

A cóż poczniemy przeciwko nim, ich jest kupa.

HETMAN.

Co! zagramy w szable. Znajdzie się nas starych republikańców więcej niż sędziów. Niech lepiej Polski nie będzie, niżby ją nam mieli na ładąką monarchię przerobić... Nie pozwolimy!

WOJEWODA.

Nie powinniśmy pozwolić!

HETMAN.

Nie damy się.

WOJEWODA.

Nie powinniśmy się dać!

HETMAN.

Nie słuchajcie tylko tego waszego ambasadora, ale mnie. Mówię wam, to stara wrona. Ja mam mojej sejmikowej zagrodowej szlachty na zawołanie choćby tysiąc szabel... A wszyscy tacy, że gdy im gorzały doleję i krzyknę: Pano-
wie bracia, za mną! pójdą choćby na samego lucypera. Posiekamy garść tych papinków jakubiniów na kapustę... o ho?

WOJEWODA.

Oddacie prawdziwą krajowi przysługę....

SCENA X.

CIŻ. W czasie ostatnich wyrazów Hetmana, powoli z sali reductowej zbliża się Żebrak i obchodzi ich dokoła.

ŻEBRAK (*do Hetmana*).

O grosik jałmużny dla biedaka prosiłbym jaśnie wielmożnego pana! Proszę o grosik jałmużny! Ojczyzna dała ci za przelaną krew braci milion dochodu, daj mi choć grosz.

HETMAN.

Idź precz trutniu!

ŻEBRAK.

Pana wojewody nie proszę dziś, bo wiem, że jeszcze pensya miesięczna od ambasadora nie wpłynęła.

WOJEWODA.

A to łądak jakiś... trzebaby go pochwycić! zuchwalec.

HETMAN.

Jakubińskie sztuczki! Jakubiny!

ŻEBRAK (*śmiejąc się*).

Jakuby? Jakubiny?... jako żywo, nie znam się z żadnym Jakubem. Stoję sobie we dnie na ulicy pod latarnią przed Bernardynami i czekam aż mi na niej który z was zaświeci! To dopiero w Polsce będzie jasno! cha! cha!

(*Hetman porywa za szablę i rzuca się za nim*).

(*Żebraw ucieka do redutowej sali*).

WOJEWODA.

Łapać go! łapać!

HETMAN.

Trzymaj kto w Boga wierzy.

(*Z sali od gry wbiega kilka osób*).

GRACZ.

Co to jest?

DRUGI.

Co się stało?

HETMAN (*wraca chowając szablę*).

Uszedł mi... ale tego dojdziemy.... Patrzcie panowie, latarniami nas już straszą, senatorów rzeczypospolitéj, służki Kołłataja! Wszystko to sprawy klubistów, patryotów, pieczeniarzy. Trzeba raz temu sejmowi i tym spiskom koniec położyć!

(*Gromadzą się na przedzie sceny, rozmawiając żywo*)).

Żasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Teatr przedstawia salonik wytworny w smaku XVII wieku. Drzwi od przedpokoju w głębi, w prawo drugie do gabinetu Wojewody, wlewo trzecie do pokojów Księżnej, jego córki. Stół, kanapa, sofa, kilkanaście krzeseł białych ze złotem. Na ścianach zwierciadła i portrety.

SCENA I.

KSIEŻNA sama, chodzi po salonie, głowa spuszczone, ręce zwieszone i załamane, ubiór domowy ranny, ale wytworny.

Nigdy mi jeszcze nie ciążył tak los mój i życie!... A! jakżeby mi lekko było teraz zasnąć i nie przebudzić się więcej. Poco żyć dłużej? życie już dla mnie nic nie ma, oprócz coraz nowego bólu. Jeden jeszcze tylko węzeł trzyma mnie przywiązaną do ziemi — ten biedny stary ojciec, którego kocham. Sam jeden na świecie. O Boże mój i kochać go muszę, a często litować się tylko nad nim... i płakać

lub napróżno wstrzymywać, gdy idzie, gdziebym ja go widzieć nie chciała. Dla niego, poleciła mi go na łożu śmierci matka — dla niego wszystko znosić muszę aż do wzgardy tego człowieka, którego szacunek jest mi najdroższym.... Są ciężkie w życiu do podźwignięcia obowiązki, bardzo ciężkie.

(myśli)

Co podczaszyc pomyśli o mnie? co mu tu ludzie powiedzą? Jak to boli — nad wszystko! nad wyraz wszelki; jednak i to znieść potrzeba... i żyć!!

SCENA II.

KSIEŻNA chodzi po salonie. WOJEWODA wysuwa się pocichu ze swego gabinetu, tak że go nie postrzega i nie słyzy; patrzy na nią długo i przybliża się zwolna.

WOJEWODA.

Maryo! co ci jest?

KSIEŻNA *(jakby przebudzona, po chwili)*.

Mnie! nic — wcale nic.

WOJEWODA.

Możeszże to mówić mnie?... mnie, co cię tak znam dobrze?

KSIEŻNA *(ręką pocierając czoło)*.

Trochę głowa mnie boli po téj nieznośnej reducie.

WOJEWODA *(wpatrując się w nią, po chwili)*.

Ale nie — ja widzę, ty masz jakieś zmartwienie.

KSIEŻNA.

Ja?... doprawdy żadnego — nic nowego, jestem jak zwykle.

WOJEWODA.

Masz zmartwienie i nie chcesz się z niego zwierzyć przed ojcem, który cię tak kocha?

KSIEŻNA.

Kiedy mi nic nie jest, a ten ból głowy i chwilowy niesmak jakiś — to przejdzie.

WOJEWODA.

A! zapewne, przejdzie, boć wszystko przechodzi; ale ja mam prawo i chcę i powinienem wiedzieć, co ci tam ciąży na tém biedném sercu?

KSIEŻNA.

Nic — nic.

WOJEWODA.

Muszę być natrętnym, mów.

KSIEŻNA (*ślągajęco*).

Mój kochany ojcze!

WOJEWODA.

Chcę wiedzieć, tak, koniecznie, moja Maryo; złem czy dobrem powinnaś się ze mną podzielić, ja się tego domagam, proszę, błagam — rozkazuję.

KSIEŻNA.

Mój ojcze, kłamałbym nie potrafiła, a martwić cię nie chcę....

WOJEWODA.

Przecież niczém bardziej zmartwić mnie nie możesz jak tym uporem. Domyślam się najstraszniejszych rzeczy, które nawet rzeczywistość samą przechodzić mogą.

KSIEŻNA (*wzdychając*).

Nie ma nic straszniejszego nad nią.

WOJEWODA (*z dumionym*).

Więc cóż to jest? na Boga! co to jest? mów!

KSIEŻNA.

A! mój Boże, słowo się tak wymknęło — nie ma nic, nie ma nic.

WOJEWODA (*natarczywie*).

Dosyć już tego, na cienie matki twój, nakazuję ci, mów, mów mi całą prawdę, nie jestem dzieckiem.

KSIEŻNA (*po chwili, oczą zakrywając chustką*).

Stanie się wola twoja, mój ojcie, zakrwawię serce twoje, gdy ci moje otworzę. Jestem nieszczęśliwą, jestem najnie-szczęśliwszą na świecie.

WOJEWODA.

Ty? ale cóż, kto powodem?

(*Długie milczenie*)

Powtarzam, z czyjegoż powodu to nieszczęście?

KSIEŻNA (*z wysileniem*).

Ojcie! ty, którego kocham nad życie, ty mnie czynisz nieszczęśliwą.

WOJEWODA (*poruszony*).

Cóż to jest? ja? Maryo! na Boga! co ci się stało? jak możesz to mówić?

KSIEŻNA.

Tak, ty, mój ojcie! A! dawno, dawno już skarga i prośba razem ciążyły mi na sercu... dawno chciałam ci upaść do nóg i błagać. Ojcie! uciekajmy ztąd! nie siedźmy tu, oddalmy się ztąd, zakopmy w ubogiej wiosce; będę ci sługą, niewolnicą, opiekunką... kopać będę ziemię, żaden trud mnie nie ustraszy. Otoczę cię staraniem, wygodami... rozerwę... osłodzę ci życie, nie zatęsknisz za stolicą; ale uciekajmy ztąd! uciekajmy!

WOJEWODA.

Co ci się stało? ty tracisz zmysły!

KSIEŻNA.

A! nie! Jestem przytomną, widzę jasno i rumienie się za to co jest... (*składa ręce*) O ojcie drogi, czyż sądzisz, że nie widzę i nie rozumiem, czemu i komu winniśmy tę świetną egzystencję naszą?... O ojcie drogi, modłę się, zerwij z niemi, błagam — przenieś szlachetne ubóstwo nad tę za-możność opłaconą, okupioną... a! takim upodleniem.

WOJEWODA (*z gniewem*).

Oszalałaś! Co? śmiesz mi to mówić! mnie? Upodleniem!! a cóż to nas upadła, nieroztropna i śmieszna kobieto, mów, bo cię zrozumieć nie mogę — mów.

KSIEŻNA.

Chyba mnie nie chcesz rozumieć, ojczy. Cały świat wie, że żyjemy łaską ambasadora, pensją obcego dworu, jesteśmy niewolnikami i sługami obcego mocarstwa, które było i jest przyczyną wszystkich nieszczęść naszych, a stało się ohydą całego narodu.

WOJEWODA (*zimno*).

Prawdziwie, że tój egzaltacyi dzieciinnój, w kobiecie wytrawnój, która widziała i zna świat, zrozumieć mi trudno. *C'est absurde!* Nie dziwuję się ulicznikom, jakubinom, klubistom, całej tój gawiedzi bezmózgiej, gdy coś podobnego mówi — ale ty! kobieta innego świata, pojęć wyższych!! Proszę cię, pokaż mi jedną rodzinę, jednego z naszych największych magnatów, któryby od lat stu nie brał jakiegś pensyi od przyjaznego sobie mocarstwa? Jest to przyjęta oznaka zobowiązania się, należenia do partyi, do której się z przekonania weszło. Wiesz to dobrze, iż widziałem i widzę zbawienie Polski tylko w protekcyi Rosyi. Cóż dziwnego, że przyjmuję tę oznakę łaski Imperatorowój!

KSIEŻNA (*łamiąc ręce*).

A! ojczy! mówisz to tak zimno! Przecież nawet prawo zabrania... opinia się oburza! posłuchaj ludzi, co o nas sądzą i mówią.

WOJEWODA.

Gardzę tym motłochem, który nigdy podnieść się do pojęcia polityki naszej nie jest w stanie. Te wartogłowe partyotyzmy obrzydliwe mi są. Kocham Polskę, życzę jej dobrze i pracuję dla niej jak umiem. Trzymam i trzymać będę z Rosyją.

KSIEŻNA (*z przestraczem*).

Ciszej! na Boga, mój ojciec... trzymasz więc z nieprzyjacielem kraju.

WOJEWODA.

Ja go mam za sprzymierzeńca — to przekonanie moje, nie taję się z niemi!

KSIEŻNA.

Dobrze... trzymasz, tak... zgoda! Trudno pogwałcić przekonanie... ale odrzućcie ich złoto, ale nie pozwól płacić sobie i nie zaprzęgaj się w służbę. Swobodne przekonanie twe mieć będzie siłę, zyszcze poszanowanie! Zrzecz się téj pensyi — jedźmy, ucieknijmy ztąd, pogardźmy temi bogactwami, świetnością; zerwijmy upokarzające stosunki. A! ojciec! ty może jeszcze o wszystkiem nie wiesz — mnie czoło okrywa wstyd, gdy mówię o tém. Ambasadorowi zdaje się, że cały nasz dom zakupił, on śmie, on sądzi, niegodziwy! nikczemny — on stara się o moje względy i narzuca mi swemi! Możeż być większe upokorzenie?

WOJEWODA (*zmięszany nieco*).

Człowiek zresztą najlepší wychowany, *trés comme il faut* i w łaskach u Imperatorowej JMci.

KSIEŻNA (*z oburzeniem*).

Człowiek żonaty! stary! znany z płochości, który, dzięki naszym paniom, byle na którą okiem rzucił, już sławie jej robi uszczerbek.

WOJEWODA.

Przecież z żoną nie żyje, a rozwód wziąć może.

KSIEŻNA.

Na Boga! i ty sądzisz ojciec, że Polka mogłaby pójść za niego?

WOJEWODA.

Miałbym za szaloną tę, któraby mu odmówiła, gdyby jej ten honor uczynił i chciał się ożenić.

KSIEŻNA.

I wydałbyś córkę za wroga, człowieka obcej wiary,

którego imię jest w obrzydzeniu, jak wyraz gwałtu i przemocy?

WOJEWODA.

Frazy! frazy! Chorujesz na deklamację, kochana Maryo. To są czcze słowa, a życie jest życiem, i musimy je brać chłodno a rozważnie. Ja tych fraz nienawidzę, niecierpię, brzydzę się niemi jak piosnkami patryotycznymi i całym tym szychem demagogicznym. Wszystko to dobre dla ulicy, nie dla nas, ludzi europejskiej cywilizacji i pojęć zdrowych...

(*po chwili*)

Nadzwyczaj mnie to boli, że my się tak nie rozumiemy i że ja, który najgoręcej pragnę dobra twego, przyczyniam ci tylko cierpienia. Ale ty zawsze jeszcze jesteś dzieckiem, głowa zapalona, choć serce złote. Uspokójże się...

KSIEŻNA.

O mój ojcie! gdybyś mógł zajrzeć w głąb méj duszy, przekonałbyś się, że tam już nigdy pokój zamieszkać nie może. Jam nieszczęśliwa, a los mój się nie zmieni, bo ty nie chcesz.

WOJEWODA.

Ja? I mnie obwiniać śmiesz o własne dziwactwo?

KSIEŻNA.

Ojcie drogi, zakłąłeś mnie na cienie matki, abym mówiła prawdę, ja cię na pamięć jój zaklinam, wysłuchaj prośby mojej! Ona to w kolebce, razem z miłością ku Bogu, razem z poszanowaniem i przywiązaniem ku tobie, wlała mi uczucie miłości ojczyzny. A! gdyby powstała z grobu, ona, za której życia nigdy stopa obcego człowieka nie śmiała przystąpić progu domu naszego, gdyby ujrzała dziś ten dom gospodą wrogów, a ciebie, najdroższy ojcie, ich przyjacielem i sprzymierzeńcem! a! onaby ze zgrozy umarła.

WOJEWODA (*porywczō*).

Dziecko nierozsądne! milcz! milcz!

(Przechadza się po scenie milczący, potem odwraca nieco uspokojony).

Tak ci to łatwo powiedzieć: zerwijmy z nimi! uciekajmy! zakopmy się na wsi! a znaszże ty, czém jest ich gniew i prześladowanie? Mówisz o schronieniu we wsi ubogiej, oni i téj nam nie zostawią — oni wszystko zniszczą, oni ostatni przytułek zagarną.

KSIEŻNA.

Dobrze! niech biorą! niech konfiskują, niech niszczą; ja będę pracować na ciebie.

WOJEWODA.

Sądziś, że oniby mnie puścili wolnym? mnie, przed którym się zwierzali ze swych tajemnic? I jabym poszedł może na Sybir w kajdanach, tém pewnie, że mnie się boją, że na mnieby się mścili zawiedzionego zaufania.

KSIEŻNA.

Więc na Sybir? chodźmy! niech nas ciągną oboje, ja pójdę z tobą, przy tobie, ja cię nie opuszczę. Męczeństwem tém obmyjemy się z winy, a raczej omyłkę chwilową naprawim... boś ty niewinny.

WOJEWODA.

Spojrzyż na mnie, policz lata, czy ja jestem w stanie znieść to męczeństwo? Mamże siły? Jam nawykł do tego życia, do tego zbytku, do wygod, bez których, wstyd mi — ale się obejść nie mogę, jam zepsuty, *(milczy)* jam nieszcześliwy, *(zakrywa oczy)* jam niewolnik ich i moich nałogów. Z piekła wyjścia nie ma!

KSIEŻNA *(z płaczem rzuca się przed nim na kolana).*

O ojcie, zbyt czarno widzisz wszystko, zbyt surowo sądzisz siebie, zbyt lękasz się o przyszłość — ależ jabym była siłą twoją, ja cię nie opuszczę nigdy. Te okrucy mienia, jakie mi pozostały, oddam ci wszystkie, nie będzie zbywać ci na niczém; sobie odejmę, ja nie potrzebuję! jam młoda, ja zniosę wszystko. Uciekajmy za granicę, tam nas ich zemsta dosiędz nie może.

WOJEWODA.

Na drugim końcu świata, jeżeli nie potrafią inaczej, będą się mścić trucizną i sztyletem zbira. Myślisz, że przyjmą nas gdziekolwiek?... nigdzie.

KSIEŻNA (*łamiąc ręce*).

Więc skazani jesteśmy na to, ażeby imię nasze... zostało splamioném na wieki!!

WOJEWODA (*żimno*).

Nie bierz tego tak tragicznie, Maryo. W polityce przekonania są wolne i hańby nikomu nie przynoszą. Mnie tłumaczy chłodny rozsądek i rachuba. Patryoci są pijani i rozgorączkowani, ale — dajmy już temu pokój — dosyć tego. Jestem mocno poruszony... to mi szkodzi, będę chorował.

(*Księżna chce odejść, Wojewoda ją wstrzymuje*).

Czekaj, słowo jeszcze. Bądź, proszę cię, grzeczniejszą dla ambasadora, idzie mi o to wielce, jest mi bardzo potrzebnym w téj chwili. Wszak tu tylko o grzeczność idzie, która cię nic nie kosztuje. Możesz się go pozbyć później, ale teraz jest mi bardzo potrzebnym. Proszę cię o to, moja Maryo.... Za twój zły humor ja będę pokutował.

KSIEŻNA.

A! mój ojczy! mój ojczy! jakąż dziecku swojemu kazesz grać rolę.

SCENA III.

Ciż. Drzwi od wchodu uchylają się zwolna i w nich ukazuje się Kasztelanowa, niemłoda ale w pretensjach, ubielona i uróżowana, mówi szybko oglądając się wkoło. Figurka mała, fertyczna.

KASZTELANOWA (*ze drzwi*).

Nie przeszkadzam?

WOJEWODA.

Bardzo prosimy! Upadam do nóg. (*patrząc na zegarek*)
Chère et belle Châteline, jakże mi żal, że ja was porzucić

muszę, zato zostawiam Marynię, która was przyjmie otwartymi rękami. Bardzom nawet rad, że ją rozerwiecie, bo mi dziś czegoś bardzo smutna po wczorajszej reducie, z której przyniosła ból głowy.

KASZTELANOWA.

A! ból głowy! migrenę! Mam krople doskonałe. (*szuka w woreczku*) Gdzież się podziały? zawsze noszę je z sobą! Przedziwne! Uleczyłam już niemi sto osób. Ks. Renaud nosi je zawsze za wojewodziną Podolską, nie może się obejść bez obu. Cha! cha!...

WOJEWODA (*grożąc*).

Que vous êtes méchante!

(*wychodzi*).

SCENA IV.

KSIĘŻNA, KASZTELANOWA.

KASZTELANOWA.

Przyślę ci zaraz krople.

KSIĘŻNA.

Dziękuję, mnie nic nie pomaga.

KASZTELANOWA (*przypatrując się jej*).

W istocie biednie mi dziś wyglądasz! (*całuje ją*) *Pauvre cher enfant!* ale tobie ze wszystkiem do twarzy, nawet z bólem głowy. Stajesz się jeszcze bardziej interesującą. Drugą by to zeszpeciło, tobie tylko dodaje wdzięku.

KSIĘŻNA (*rzuca się na kanapę i ręką uciska czoło*).

W istocie jestem dziś okrutnie cierpiącą.

KASZTELANOWA.

Ale maskarada była prześliczna... powiedziałabym, że najmiłsza ze wszystkich, gdyby nie jakiś głupi żebrak, który się tam przyplątał i wszystkich na siebie oburzył.

KSIĘŻNA (*roztargniona*).

Żebrak?

KASZTELANOWA.

Jakiś zagorzały patryota grał tę rolę. (*cicho*) Mówią, że plótn takie rzeczy, takie potworne rzeczy! Chciano pochwycić go i o mało się nie udało, ale klubiści swoich broń. Umknął.... Łamię sobie głowy, ktoby to mógł być, bo o każdym wiedział, *les choses les plus intimes!*

KSIEŻNA.

Pewnie go wysledzą.

KASZTELANOWA.

Ambasador polecił to swojej policyi, a on ma ją najlepszą. Jeśli ten nie odkryje chyba nikt. Mniszech nigdy nic nie wie.

KSIEŻNA (*rozłargniona ciągle*).

Tak — nic nie wie.

KASZTELANOWA.

A propos ambasadora... cóż ty na to, żeś go zupełnie zawojowała. Kasztelanowa wileńska się wścieka. Adoruje cię ambasador.

KSIEŻNA (*zrywając się*).

A! mój Boże! jak to? pani sądzisz?

KASZTELANOWA (*śmiejąc się*).

Wzrusza cię to! Ale zdajesz mi się przerażoną tém, co każdą inną z nas niezmiernieby uszczęśliwiło. Dla siebie, dla familii, dla przyjaciół, mieć ambasadora, *mais c'est une bénédiction!* Będziesz trząść całą Warszawą, *dont il est le souverain maitre* — dla familii wyrobisz co zechcesz, krzesła, starostwa, order, dobra. Wolałabym jemu się podobać niż królowi, który nic nie może bez ambasadora, a ambasador co chce robi z królem.

KSIEŻNA (*smutnie*).

Ale ja ani dla siebie, ani dla drugich, do tych honorów, zaszczytów, władzy i łask nie mam najmniejszej pretensyi.

KASZTELANOWA.

Kobieta bez ambicyi? to nienaturalne!... Choćby dla

pomszczenia się nad rywalkami, dla obudzenia ich zazdrości, musisz być szczęśliwą z tego. Nie możesz go przecie odpychać, *c'est serait de la folie!* A! moja droga — odepchnąć tego człowieka, który całą rodzinę dźwignąć może.

KSIEŻNA.

Ja i moja rodzina nie potrzebujemy nic — nic!

KASZTELANOWA.

Nie mów tego... nie wierzę. Być może, iż uprzedzoną jesteś osobiście przeciwko niemu, źle ci go odmalowano. Któż nie ma nieprzyjaciół? Ja go znam od bardzo dawna i mogę powiedzieć, że jego przyjaciółką. Ale to człowiek co się zowie europejski, dystyngowany, dobrze wychowany, delikatny z kobietami, galant, wspaniałomyślny bardzo... przytém nawet niezazdrośny *et le meilleur enfant du monde*.

KSIEŻNA.

Doskonałego ma w was adwokata. Nie wątpię, że z tylą i tak świetnymi przymiotami znajdzie łatwo daleko godniejszą względów jego osobę, nademnie. Jabym go ocenić nie potrafiła....

KASZTELANOWA.

Przyznam ci się, że cię nie rozumiem. Jeśli się drożysz! a! to naturalne .. jeśli gardzisz, toś dziecinna... Cóż? chyba tam kogo masz w serduszk? *Soyez franche!* między nami! mój Boże! Możesz mi śmiało powiedzieć! Ja to tak dobrze rozumiem!

KSIEŻNA.

O! nie, serce wdowie i puste!

KASZTELANOWA.

Ja u ciebie łaski nie mam, ty mi się tylko przyznać nie chcesz! Ręczę, że odgadła. Nie będę cię gwałtem ciągnąć do spowiedzi. Lecz — szczerze, między nami — cóż to przeszkadza? Dla ambicyi trzeba czasem uczynić małą ofiarę. Jesteś nadto rozsądną, żebyś ci to potrzebowała wykładać! Kochasz go czy nie! ale jesteś kobietą, potrafisz być miłą, gdy zechcesz. Trochę się przymusić, trochę uśmiechnąć...

okazać mu nieco zajęcia. Wiesz, że tak jest zakochany, tak zakochany, iż go lada czém uspokoisz, i co chcesz, z nim zrobisz.

KSIEŻNA.

Nie przypuszczam, żeby mógł kochać się we mnie.

KASZTELANOWA.

Serio! (*życzo*) Kiedy tak, to ci już wszystko powiedzieć muszę. Biedny człowiek — *il est très sensible*, tak się gryzie tém okrucieństwem, z jakim ty go traktujesz, że się przedemną skarżył. Przyznał mi się, powiadam ci, łzy miał w oczach mówiąc... litość wzbudził we mnie.

KSIEŻNA (*śmiejąc się*).

A! łzy miał w oczach! cha! cha! on, łzy!! kochana kasztelanowo, masz wzrok krótki, a serce zbyt litościwe.

KASZTELANOWA (*na stronie*).

To żmijka! (*głośno*) Ale ty go nie znasz, on jest nadzwyczaj czuły — dla kobiet; ma tylko pozór zimny i poważny, jak na dyplomatę przystało. Gdy mówił o tobie, był tak wyegzaltowany... tak wyegzaltowany, jakem go jeszcze nie widywała nigdy. (*ciszéj*) On by gotów dla ciebie wszystko zrobić, co byś kazała... mogłabyś żądać dla ojca jakiego starostwa, ministerstwa, dóbr... *en fin*, co by ci się podobało, mogłabyś....

KSIEŻNA (*z oburzeniem*).

A! pani! oszczędź mi tego upokorzenia i nie każ słuchać rzeczy, na które się dusza wzdryga. Za kogoż mnie pani masz? dałażem prawo obchodzenia się tak ze mną? upadłamże tak nisko?

A! to okropne! to okropne!..

KASZTELANOWA.

Najprostsze rzeczy bierzesz zaraz tak tragicznie.

KSIEŻNA.

Pojmuję obłąkania i błędy z miłości — przebaczam je; ale frymarzyć sercem fałszywém, ale udawać miłość dla interesu! A! pani kasztelanowo! cóż nas będzie odróżniać od

tych Julek i Józek, na które patrząc, gdy wystrojone siedzą w oknach Krakowskiego Przedmieścia, rumienim się i spuszcza my oczy?

KASZTELANOWA (*żimno*).

Moje dziecko, twe oburzenie dowodzi tylko, jak dalece świata nie znasz. Obejrż się na to, co nas otacza, przecie to chleb powszedni!

KSIĘŻNA.

Nie karm mnie nim pani! Wolałabym umrzeć z głodu! Rumienię się i oburzam.

KASZTELANOWA.

Nie pozostaje ci, jak tylko z tą cnotą iść się zamknąć w klasztorze.

KSIĘŻNA.

I gdybym mogła, dziśbym to uczyniła — wierz mi pani....

KASZTELANOWA (*po chwili*).

Ale ty w istocie dziś chyba jesteś chora. Przyznam ci się, żem się po córce wojewody więcej chłodnego rozsądku spodziewała.

(*Księżna zakrywa twarz chustką i milczy*).

KASZTELANOWA.

Ojciec twój, człowiek poważny i rozumny, wyższy jest nad te przesady, i — *chère Marie*... życzę i tobie namyśleć się dobrze, bo... bo widzisz, jakkolwiek to jest człowiek *très comme il faut*, i bardzo cię kocha... ale, jeśli go rozgniewasz i przywiedziesz do niecierpliwości, mógłby się mścić na ojcu. na rodzinie. To rzecz niebezpieczna... Namyśl się, ja wam szczerze dobrze życzę.

(*ogląda się ku drzwiom niespokojna*).

Nie będę ci się naprzykrzać... potrzebujesz namyśleć się, wypocząć! (*przechadza się po salonie*).

SCENA V.

Ciż. KAMERDYNER wchodząc.

KAMERDYNER.

Jego Excellencya Ambasador!

KASZTELANOWA (*na stronie*).

Nareszcie!

KSIĘŻNA (*wstaje przestraszona*).

Ja nie mogę przyjąć, ojca nie ma.

KASZTELANOWA (*do kamerdynera, dając mu znak*).

Księżna przyjmuje! księżna przyjmuje! rozumiesz.

(*Kamerdyner odchodzi*).

Bądźże przynajmniej grzeczną, nie gniewaj go, nie rób mu awanij! Sam się fatygowałem!!

Proszę cię... w imieniu ojca, *vous comprenez*, bądź wesołą i uprzejmą. Ja muszę odejść.

KSIĘŻNA (*zatrzymując ją*).

Zmiłuj się pani, zostań przynajmniej, ja nie chcę go przyjmować sama.

KASZTELANOWA.

Ale to śmieszność! zlituj się, coś za obawa! *c'est ridicule!* Na Boga! bądź rozsądną, nie dzieciń się. Jesteś wdową, jesteś wolną.

(*Księżna odwraca się z gniewem*).

SCENA VI.

Ciż. AMBASADOR wchodząc.

AMBASADOR.

Jakżem szczęśliwy, że choć raz znajduję panią w domu, Miałem prawdziwy *guignon*.... zawsze zastawałem drzwi zamknięte! nikogo! To mnie do rozpacz doprowadzało... Albo sam wojewoda tylko, a księżnej nie ma, lub obojga.

KASZTELANOWA (*daje mu znaki i żegna się z księżną*).

Tak mi pilno, że mimo miłego towarzystwa hrabiego, zostać nie mogę. Czekają na mnie u Małogoskiej. Adieu....

(*Księżna żegna się z daleka. Kasztelanowa wychodzi*).

SCENA VII.

KSIEŻNA siada na kanapie, AMBASADOR na krześle, które powoli przysuwa).

AMBASADOR.

Pani mi dziś wyglądasz zmęczoną... nie dziwuję się temu, na redutach zawsze tłum bywa taki, wrzask, hałas. Może to być pewnego rodzaju rozrywką dla osób, które potrzebują wrzawy, krzyku i zgrai, aby w nich odżyły... ale cóż za mięszanina! co za maniery! jakie towarzystwo! *c'est assomant*.

KSIEŻNA.

W istocie towarzystwo bardzo mięszane.

AMBASADOR.

Dziś w modzie jest popularność... bawi to ludzi zużytych, to nowość; ale człowiekowi lepszego tonu wejść w ten tłum, nie wiedząc o kogo się ociera, narażać się na grubiaństwa.

KSIEŻNA.

Reduta wczoraj pełną była jednak osób najlepszego towarzystwa.

AMBASADOR.

Wszechwładna moda! Zresztą, panie kochane jesteście czasem niezrozumiałemi; pani Krakowska jeździ na hecę, najśłabsze nerwy lubią najokrutniejsze widoki. Pani mi wczoraj szczerze żał było, boś stworzoną do życia w innej atmosferze, by być ozdobą pierwszych salonów stolicy.

KSIEŻNA.

Ja, panie hrabio, najmniejszego ku temu powołania nie czuję, owszem zdaje mi się, żem stworzoną, by żyć w ci-

chym zakątku wiejskim. Wzdycham do wsi, do ciszy! do życia w małym kółku rodzinném... to jedyne moje pragnienie —

AMBASADOR.

Które bodajby się nie ziściło, boby nas pozbawiło jedynej gwiazdy, która na tém szarém niebie świeci.

KSIEŻNA.

Pan hrabia zawsze jest do zbytku grzecznym.

AMBASADOR.

To nie komplement, ani powszednia grzeczność, to wykrzyk serca.

KSIEŻNA (*na stronie*).

O mój Boże! (*głośno*) Prześliczny mamy dzień majowy!

AMBASADOR.

Dla mnie on nie ma uroku, bo czoło pani zasępione.

KSIEŻNA.

Był dziś hrabia w Saskim ogrodzie?

AMBASADOR.

Prawdziwie, że nie umiałbym powiedzieć, gdzieś dziś był... tak mi na sercu ciężko.

KSIEŻNA.

Hrabia jesteś tak zajęty tylą sprawami, tak ważnemi.

AMBASADOR.

O wszystkich zapominam dla jednej, która dla mnie jest najważniejszą.

KSIEŻNA.

Domyślam się, że hrabia zapewne życzyłby sobie pomówić z ojcem moim.

AMBASADOR (*chmurno*).

O! myśmy się już dziś widzieli, jednej tylko rzeczy życzyłbym sobie, to żebyś pani raczyła być na mnie łaskawszą.

KSIEŻNA (*na stronie*).

Siedzę jak na mękach! A! kiedyż się to skończy.

AMBASADOR.

Pani nawet słyszeć mnie nie chce?

KSIEŻNA.

Owszem, słyszę.

AMBASADOR.

Księżna mnie nie chce zrozumieć.

KSIEŻNA.

Mnie się zdaje przeciwnie, iż hrabia rozumieć mnie nie chcesz.

AMBASADOR.

Bo nie mogę przypuścić, abyś pani była tak okrutną, tak nieubłaganą.

KSIEŻNA (*po chwili*).

Nawykłeś snuć pan hrabia do tak zwyciężkich pochodów wśród naszego świata, iż nie możesz nawet przypuścić, aby kto śmiał... pochlebnym jego grzecznościom się opierać... i nie być za nie wdzięcznym.

AMBASADOR.

Nie -- ale wierzę, iż prawdziwa, gwałtowna, wielka miłość zwycięża zawsze, łamie wszelkie przeszkody, uprzedzenia i najchłodniejsze usposobienie.

KSIEŻNA.

Zkądże tu o miłości mowa?

AMBASADOR.

Pani i tego zrozumieć nie chce.

KSIEŻNA.

Właśnie tę miłość mi pojąć najtrudniej.

AMBASADOR.

To, co czuję dla pani, jest nią niezawodnie, tak... jest miłością opartą na szacunku, na uwielbieniu, na niewysłowioném uczuciu, które...

KSIEŻNA (*z uśmiechem*).

Ale pan hrabia kilka razy do roku zwykłeś doznawać tych uczuć, uwielbienia, sympatyj... i z wielką łatwością przenosić je z jednego przedmiotu na drugi.

AMBASADOR.

A pani, nie będę się zapierał, jest to płochość pozorna, a rzeczywisty dowód serca, które szuka ideału i znaleźć go nie może, lecz gdy nareszcie trafi nań, naówczas miłość jego staje się wieczną!

KSIEŻNA.

Ideałów nie ma na świecie.

AMBASADOR.

Patrzę nań w téj chwili i czuję, że uczucie moje... trwałém będzie, bo jest prawdziwém. Wierz mi pani, walczyłem z tą namiętnością, wiedząc, iż wiele znieść będę musiał dla niéj, nim się potrafię o jéj szczerości przekonać.... Silniejszą była nad rozum, dumę, nad wszystko.

KSIEŻNA.

Musiałabym być wdzięczną panu hrabiemu za tak pochlebne i śliczne rzeczy, gdyby to nie była zdawkowa moneta, która się daje każdej nowéj twarzyczce!

AMBASADOR.

Czémże mam dowieść, że czuję co mówię, rozkaż pani, wystaw mnie na próbę.

KSIEŻNA.

Wiara, panie hrabio, nie narzuca się i nie zdobywa, ona przychodzi sama. Cóżem winna, że jéj nie mam? Nie mówmy o tém, proszę.

AMBASADOR.

Owszem pani, błagam, mówmy o tém! Ja dziś postanowiłem wynurzyć się przed panią. Księżna musisz mieć przeciwko mnie uprzedzenia, racz spytać szanownego ojca, zna mnie dobrze, blisko, nieraz miałem zręczność być mu użytecznym.... Że mam nieprzyjaciół, nie przeczę! W tym kraju nie mogłem się nic innego spodziewać, oprócz potwarzy. Świadczyłem dobrodziejstwa, aby zbierać niewdzięczność. Tak jest zawsze.

(*milczenie*).

KSIEŻNA (*z cicha*).

Pozwól mi hrabio powiedzieć sobie. Nawykłeś wydawać rozkazy i być słuchanym w pokorze — ale sercu się nie nakazuje. Nikt nie jest sam jego panem, tém bardziej ktoś obcy. Jestem mu nieskończenie wdzięczną za tyle miłych i pochlebnych rzeczy; lecz cóżem winna, że na nie inaczej jak podzięką odpowiedzieć nie potrafię.

(*milczenie*).

AMBASADOR.

Ale przecież to nie ostatnie jój słowo?

KSIEŻNA.

Nie zwykłam ani uczuć ani słów odmieniać. Pan hrabia tak łatwo możesz znaleźć dla tego serca przedmiot daleko powabniejszy... ja...

AMBASADOR.

Pani nie zwykłaś się zmieniać, ja także. Jestem z natury i nałogu upartym, będę więc bardzo uprzykrzonym.

KSIEŻNA.

Nie jest to najlepszy sposób pozyskania sobie serca.

AMBASADOR.

Przepraszam, często się je jak fortecę szturmem zdobywa, kiedy kto jest zmuszonym. Księżna masz słuszość, żem nie nawykł odchodzić z kwitkiem.

SCENA VIII.

Ciż. KAMERDYNER.

KAMERDYNER (*u drzwi, oznajmując*).

Podczaszyc Kierdej!

(*Księżna zmięszana, milczy osłupiała*).

AMBASADOR.

A! cóż za natręt nieżnośny. Nie chciałbym, aby mnie

tu spotkał i widział... dla mnie to obojętne, ale dla ojca pani! A tyle jeszcze rzeczy miałem do powiedzenia.

(ogląda się).

KSIEŻNA *(na stronie).*

Co pocznę, gdy mnie sam na sam z nim znajdzie, w oczach jego będę zgubioną! o mój Boże, o Boże!

AMBASADOR *(wstając z uśmiechem).*

Będę korzystał z poufalitych moich stosunków z panem wojewodą... i poczekam na niego w gabinecie! *(odwraca się)* Wszak tu? Księżna pozwoli! Posiedzę, póki natręt nie odejdzie.

(Księżna milczy, Ambasador kłania się i odchodzi).

SCENA IX.

KSIEŻNA. KAMERDYNER u drzwi.

KSIEŻNA *(wstając z kanapy, do siebie).*

To prawdziwy dzień męczeństwa.

(do kamerdynera)

Powiedz, że...

(na stronie)

Co pocznę? co mu powiem?

KAMERDYNER.

Pan podczaszyc bardzo prosi, aby mógł być przyjętym.

KSIEŻNA *(odwraca się ku niemu).*

Prosić....

(Kamerdyner wychodzi).

SCENA X.

KSIEŻNA, później KIERDEJ.

KSIEŻNA.

O mój Boże, całą naszą rozmowę słyszeć będzie pode-drzwiami!! Co mówić, jak się znaleźć?... Odprawię go co

prędzej.... Nie! (*łamie ręce*) Co pomyśli o mnie?

(*Kierdej wchodzi z twarzą wesolą*).

KIERDEJ.

Jakże mi pilno przyjść było... jak jestem szczęśliwy, że cię znajduję samą, Maryo moja... marzyłem ciągle o tobie, całą noc bezsenność przewalczyłem ze wspomnieniami młodości... przychodzę cię przebłagać za chłód mój, za wczorajsze słowa. Serce mi mówi, że mimo wszystko, co świat, co ludzie niepocziwi o tobie wyrzec mogą, tyś zawsze złoty-włosym, jasnym ideałem méj młodości.

KSIEŻNA (*patrzy nań, walczy z sobą; zmusza się i mówi chłodno*).

Siadaj pan, panie Stanisławie!

KIERDEJ.

Cóż to jest? taka zmiana od wczora! Ten chłód? miałabyś gniewać się na mnie?

KSIEŻNA (*rękę uciskając czoło*).

Taka dziś jestem chora, tak mi niedobrze, czuję się zmęczoną.

KIERDEJ.

Chora jesteś, blada, smutna. O! nie dziwuję się; wczorajsze spotkanie tyle uczuć, tyle wspomnień obudziło. Inaczej, po latach tylu spotkań się spodziewałem z tobą... przychodzę przebłagać, przeprosić... chciałbym na dowód ufności odkryć ci całą duszę, wszystkie myśli i plany moje... głowa mi się niemi pali.

KSIEŻNA (*przestraszona*).

Byłeś pan już gdzie dzisiaj?

KIERDEJ (*cofając się*).

Maryo! ja cię nie rozumiem. Szedłem tu z wezbraną duszą, aby ją wylać przed tobą, przyjmujesz mnie... odpychasz.

KSIEŻNA.

A! nie! nie...

KIERDEJ (*żwło*).

Obiegłem już całą Warszawę, widziałem znajomych i przyjaciół, radziłszy. To, com słyszał, com się dowiedział, orzeźwiło mnie, uradowało. Serce mi się z piersi dobywa. A! gdybyś wiedziała....

KSIEŻNA.

Ja nic wiedzieć nie chcę! nie chcę! nie chcę!

KIERDEJ.

Rozumiem cię! Ale ja wierzę w to, że jesteś jak byłaś Polką i patriotką, Ojciec może mieć inne przekonania.

KSIEŻNA (*żwło*).

Przestańmy o tém, na Boga!

KIERDEJ.

Dlaczego? Chcę dowieść, że ci ufam, chcę się z tobą mým szczęściem podzielić. .. Wierzę ci, powiem ci wszystko

KSIEŻNA (*przestraszona wstaje*).

Ale ja nic wiedzieć nie chcę! Na miłość Boga... nie chcę....

KIERDEJ.

Cóż ci jest? zasmucasz mnie.

KSIEŻNA.

Będiesz dziś pewnie w teatrze?

KIERDEJ.

Ja? w teatrze?? cóż to jest. A, Maryo droga, widzę, żem wczoraj na twój gniew zasłużył! Przebacz mi.

KSIEŻNA (*kaszląc*).

Tak mi niedobrze....

KIERDEJ.

A właśnie ja dziś czułem się po raz pierwszy szczęśliwym prawie. Myślałem o tobie i patrzałem na Warszawę, tak inną teraz, tak zmienioną. Nie poznaję jęj... jaki duch czerstwy, zdrowy zewsząd wieje. Ulice oczyszczone z Moskali....

KSIEŻNA (*kaszle*).

Dzień śliczny!

KIERDEJ.

Apostołowie ambasadora gdzieś się po norach kryją.
(*Księżna kaszle coraz mocniej*).

KIERDEJ.

Patryotyzm rozbudzony, młody, ofiarny, olbrzymi...
taki, który cuda czyni, który milczeć umie i działać.

KSIEŻNA (*na stronie*).

A! czemuż on milczeć nie umie!... (*głośno*) Tak mi
duszno!

KIERDEJ.

Nie, uczucia, jakiegom doznał, żadne słowo wyrazić
nie jest w stanie. Płakałem, słuchając ich. Wszystkie moje
marzenia najgorętsze spełnione już widzę... Na barkach
młodego pokolenia niesiona, Polska wstanie silna.

KSIEŻNA (*przerywając mu*).

Marzenia, marzenia — mówmy o czém inném, proszę.

KIERDEJ.

Dlaczegoż posłuchać mnie nie chcesz, zwierzam ci się
jak siostrzynęj duszy, z tém co mam najdroższego, chcę się
z Maryą podzielić uczuciem, szczęściem, nadzieją... Któż
lepij mnie zrozumie!

KSIEŻNA (*na stronie*).

Zginę! (*głośno*) Mam tak silny ból głowy, że chwilami...

KIERDEJ.

A! jam sobie pochlebiał, że go odpędzić potrafię, że
uleczyć cię zdołam. Prawdziwie! jestem jak pijany, jak sza-
lony... nie mogę myśleć ani mówić o czém inném, tylko
o ojczyźnie i o tobie! Maryo moja, jesteśmy na drodze od-
rodzenia, wielkie rzeczy spełnią się wkrótce, zobaczysz.

KSIEŻNA.

A! ta głowa! czy dziś zimno?

KIERDEJ.

Mnie — gorąco! ciepło, rajsco! ja nie wiem nic. Widzę,
jak Fenix Rzeczpospolita odradza się z popiołów.

KSIEŻNA.

Nie mówmy o polityce, ja jój nie rozumiem.

KIERDEJ.

Ja jój nie cierpiałem także, ale dziś zmienił się stan rzeczy. Dziś wszyscy, ile nas jest, starzy, kobiety, dzieci, co żyje, co nie umarło, co wierzy i co kocha, powinno sobie podać ręce, skupić się około osłabłej matki.

KSIEŻNA (*na stronie*).

A ten tam wszystkiego słucha, a ja go przestrzedz nie mogę!

KIERDEJ (*zbliżając się*).

Ty chyba nic nie wiesz, Maryo, nie dziwię się, wczoraj jeszcze było to i dla mnie tajemnicą; lecz dla ciebie ja nie chcę mieć tajemnic!

KSIEŻNA (*zrywa się przelekła*).

Panie Stanisławie, zaklinam... żadnej polityki... cierpię, niewysłowienie cierpię. (*pada na kanapę*).

KIERDEJ.

Nie zdradziłbym téj tajemnicy przed nikim, lecz ty, Maryo...

KSIEŻNA.

Panie Stanisławie! pan mnie zabijasz!

KIERDEJ (*po chwili*).

Co to jest? nie rozumiem.

KSIEŻNA (*miarkując się*).

Słabo mi! Nie rozumiesz mnie w istocie. Ja — ja jestem kobietą... prawdziwie, głowę dziś tracę... co mi jest, sama nie wiem.

KIERDEJ.

Każesz mi odejść — wypędzasz?

KSIEŻNA (*zrywając się*).

Odejść? nie... tak... nie wiem... nie wiem.

KIERDEJ.

Żal mi cię — jest coś między nami niepojętego dla

mnie, co tamuje porozumienie. Teraz — i ja jestem smutny. odejdę ztąd zrozpaczony.

KSIEŻNA (*cicho*).

Litości! Panie Stanisławie, zabijasz mnie.

KIERDEJ (*stoi chwilę osłupiały, bierze czapkę, zabierając się do wyjścia*).

Przebacz mi pani! Wpadłem tu jak roztrzepany dzieciak, zapomniawszy o wszystkiém co przeszło, co nas zmienić i oddalić musiało. Sądziłem, że znajdę tu dawną, moją, dobrą Maryę; trafiłem na księżnę, któraby się rada co najprędzej pozbyć natręta.

Musiałem przybyć nie w porę? Ktoś inny zapewne był oczekiwanym! My wieśniacy tak jesteśmy prostoduszni... tak długo się na tém poznać nie umiałem.

KSIEŻNA (*wstając*).

A! nie odchodź z tém wrażeniem i z temi okrutnemi słowy. (*chwytając się za głowę*) Nie widzisz więc, nie czujesz, nie rozumiesz, że ja cierpię, że szaleję, że... to okropne!..

KIERDEJ.

Rozumiem, czuję, domyślałem się wszystkiego teraz daleko lepiej, niżbyś księżna sądziła. Proszę tylko o przebaczenie mi tego chwilowego obłąkania wspomnieniami młodości, tego dzieciństwa... Nie poważę się więc przestąpić tego progu, ani ją utrudzać wyznaniem, egzaltacją, której w końcu sam widzę śmieszność.

KSIEŻNA.

Panie Stanisławie, ja was błagam o litość, odpowiadasz mi okrucieństwem.

KIERDEJ (*stoi milczący i patrzy na nią*).

W głowie mi się mięsza. W tém wszystkiém jest coś niezrozumiałego dla mnie... próżno chciałbym się gniewać, czuję litość i trwogę.

KSIEŻNA.

A tak! litość! litość miej nademną... niech mi w twém

sercu choć to uczucie zostanie. (*cicho*) Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwą.

(*Upada na pół zemdlna na kanapę, dając mu znak, ażeby wyszedł*).

Kierdej stoi, patrzy długo, chwytą się za głowę i wahając się z wolna odchodzi.

SCENA XI.

KSIEŻNA, później AMBASADOR.

Księżna leży nieruchoma, oczy osłupiałe podnosząc niekiedy ku drzwiom gabinetu ojca — przysłuchuje się, po chwili drzwi się uchylają, Ambasadór wchodzi uśmiechnięty.

AMBASADOR.

Patetycznej prawdziwie sceny byłem świadkiem mimowolnym. Zawdzięczam pani wiele, bo mnie kilka słów nieogłędnie przez tego zapaleńca wypowiedzianych na bardzo ważne naprowadzają wnioski. Dotąd w istocie wierzyć w to nie chciałem, ażeby się coś na seryo knuć miało między patryotami; zaczynam posądzać, że się mógł mylić... Coś jest! coś jest!

KSIEŻNA (*żywo wstając*).

To się chyba hrabiemu przysłyszało, mówił mi o sobie, o wspomnieniach młodości, o patryotyzmie szczęśliwszych czasów.

AMBASADOR.

Przepraszam! A! nie! żadne słówko nie było dla mnie straconém. Słyszałem wszystko doskonale. Gabinet jest tak akustycznie zbudowany, drzwi umyślnie zostawiłem nieco otwarte. Dobry dyplomata ze wszystkiego powinien umieć korzystać.



KSIEŻNA.

I pan hrabia nie wahałbyś się korzystać z tak podstępnej rozmowy, której mogłeś nie zrozumieć.

AMBASADOR.

Rozumiałem wszystko doskonale: uczucia, myśli, pobudki. Byłbym śmiesznym, gdybym nie zużytkował daru niebios. (*śmieje się*) Jeśli gdzie, to u nas w dyplomacyi cel uświęca środki.

KSIEŻNA (*ze wzgardą*).

Im się świat widzi bliżej, dłużej — tém większą wzbudza obrzydliwość. Nie sądzę, byś pan hrabia w ten sposób chciał się mi zalecić.

AMBASADOR.

Niestety... księżna sama powiedziałaś mi przed chwilą, że próżnobyłbym się starał o to!

KSIEŻNA.

Szlachetność obudza przynajmniej szacunek.

AMBASADOR.

A! ten lodowaty, siwowłosy szacunek! Przyznam się pani, że jakkolwiek z jej ślicznych rączek wszystko jest drogiem dla mnie, wołałbym — co innego.

(*Księżna spogląda i cofa się*).

SCENA XII.

Ciż. WOJEWODA wchodzi głównymi drzwiami. Księżna zobaczywszy go, ucieka do swoich pokoiów, nie żegnając ambasadora. Wojewoda spogląda za nią nieukontentowany, i zbliża się do ambasadora.

WOJEWODA.

Jakże mi miło...

AMBASADOR.

Zabawne miałem zdarzenie... za złe mi tego nie weźmiesz. Przed chwilą zaanonsował się tu podczaszyc Kierdej,

nie bardzom sobie życzył, szczególniej dla was, żeby mnie tu znalazł. Pozwoliłem sobie przejść do waszego gabinetu, gdzie całą jego wizytę przesiedział.

WOJEWODA.

Kierdej nasz krewny i — dawny przyjaciel domu.

AMBASADOR.

I wielbiciel księżnej! A! zapalona głowa! gorący patriota! trochę się wypaplał przed księżną. Słuchałem naturalnie i nauczyłem się nieco.... *(po chwili)* Kierdeja tego trzeba mieć na oku.

(spogląda na wojewodę, który milczy).

Dziś zrana mi już doniesiono, że ze wszystkimi menagerami tutejszymi ściśle ma stosunki. Zdaje się, że czekali na niego, że całą gromadę posłów prowadzi z sobą. Był już u Kołłątaja, u Potockiego, u Małachowskiego, u Rybińskiego, wszędzie.... Wielce szkodliwym nam być może.... Z boleścią serca to mówię — trzeba szukać środka, ażeby go — usunąć.

WOJEWODA.

Jakto?

AMBASADOR.

Przed wami tylko powiedzieć to mogę, wy znając mnie wiecie, że wcale okrutnikiem nie jestem, lecz polityka ma wymagania nielitościwe. Chcąc być dla wszystkich grzecznym, człowiek się na nic nie zdał.

WOJEWODA.

Rozumiem to dobrze.

AMBASADOR.

Ten człowiek mi w sejmie zawadza... trzeba się go pozbyć.

WOJEWODA.

W jaki sposób?

AMBASADOR.

Tak, abym miał z tego korzyść, a nie ściągnął podej-

rzenia, iż jestem sprawcą.... Zwykle prawidło. Rozumiecie mnie.

WOJEWODA.

Rozumiem, ale...

AMBASADOR.

Ja muszę być zasłonięty, nie mięszam się do niczego. *Ce n'est pas mon affaire.* Stoję na boku.

WOJEWODA.

Więc któż to dokona?

AMBASADOR.

A! nie wiem! ktoś! przypadek! Przy tak zapalczywym temperamencie, bardzo być musi łatwo o sprzeczkę, o ostre słowo... ktoś może się obrazić — może nastąpić wyzwanie. Rzecz bardzo powszednia, wyjadą do Jabłonnej, po za jurydykcyę marszałkowską. Ci młodzi zapaleńcy zwykle się źle biją i porywczo strzelają.

WOJEWODA.

Szkoda by go było... w gruncie to człowiek dobry, obałamucony tylko.

AMBASADOR.

Tacy są najszkodliwsi, kochają ich wszyscy i idą za nimi. Niezmiernie mi go byłoby żal.

WOJEWODA.

Lecz mogłoby się obejść bez tego?

AMBASADOR.

Wątpię, bardzo wątpię. Mnie samemu serce to krwawi ale, cóż chcesz, polityka na wodzie różanej do niczego; kto się jój raz dotknął, wie, że jest nieubłagana. Nielitościwa to pani. Zresztą... czyż koniecznie rezultat ma być śmiertelny? nam idzie o to, ażeby na jaki czas nam nie bruździł. Sądzę, że chwila ta jest stanowczą.

WOJEWODA.

Ale cóż znaczy jeden człowiek?

AMBASADOR.

Jeden, gorący, zapalony, poprowadzi za sobą wielu.

Odbierzcie wodza, wojsko pójdzie w rozsypkę. *C'est elementaire*, kochany wojewodo.

WOJEWODA.

Zapewne, lecz nie sądzę, by miał wpływ tak wielki.

AMBASADOR.

Może mieć ogromny i wiele nam utrudnić. Nie podzielasz mojego zdania?

WOJEWODA.

Możeby się dało inaczej wykonać, wyznaję, żal mi go.

AMBASADOR.

Cóż mu się tam stanie! Tak czy owak, muszę się go pozbyć... zawadza mi, zawadza.

(*myśli*)

Nie sądziłem, byście go bronić mieli.

WOJEWODA (*żywo*).

Ja go nie bronię — ale...

AMBASADOR.

Mówiono mi o nim dawno, alem go tu dopiero poznał z rozmowy. Niedarmo rachowali nań patryoci... przybył im w porę. Pomyślimy, co się da zrobić, lecz usunąć go, rzecz nieuchronna.

(*Podaje rękę i żegna wojewodę, który go do drzwi odprowadza*).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Saski ogród w Warszawie, w głębi widać pawilon. — Na przodzie sceny drzewa, ławki pod niemi, dalej klomby.

SCENA I.

KSIEŻNA sama,

przechadza się niespokojna, oglądając się dokoła. W dali snują się różne postacie przechadzających w strojach polskich i francuskich.

KSIEŻNA.

Gdzie go znajdę... instynkt jakiś mnie tu prowadził, powinnam go spotkać... chciałabym znaleźć samego, naprawić to nieszczęsne wrażenie.

Wszyscy przechodzą tędy, spotykałam wszystkich, których nie chciałam widzieć, wszystkich oprócz niego. A tak koniecznie, dziś jeszcze widzieć go potrzebuję. Co on o mnie pomyślał po téj rozmowie? z jakiém odszedł uczuciem? z pogardą! Mamże mu wyznać wstyd nasz, stosunki ojca? A! niech lepiej inne mu to usta powiedzą, mnie go tylko uniewinniać przystało! Stracić szacunek i przyjaźń Stanisława... dla mnie się równa śmierci! Ja go rozbroję! on mi uwierzy, zrozumie, w jego sercu została iskierka dla mnie.

A! i ta może już dziś wygaśa!

Z modlitwą dawno na ustach niebywałą szłam tu dla

niego, chcąc się z nim spotkać... choć nie wiem, cobym mu powiedziała!... (*ogłąda się niespokojna*) A! niechby przyszedł tylko! niechbym go zobaczyła, rozbroiłabym gniew... (*ogłąda się*) Ktoś idzie, muszę się ukryć... Znajomę twarze.
(*Uchodźi niedaleko za część klombu i drzewo*).

SCENA II.

Kapitan ZAPONI. D'ASCH.
Wchodzą razem, rozmawiając.

ZAPONI.

Możemy się tu rozmówić, jesteśmy sami, nie ma nikogo.

D'ASCH.

Naprzód muszę mu oznajmić, iż mówię z polecenia wyższego.

ZAPONI.

Doskonale rozumiem. Ten wyższy długo jakoś o mnie zapominał i znać nie chciał. Parę razy napróżno wysiedziałem kwarantannę z lokajami.

D'ASCH.

Musiła zajść omyłka.

ZAPONI.

Nie — lecz o cóż idzie?

D'ASCH (*ogłąda się*).

Nikt nas nie słucha?

ZAPONI.

Mnie o to więcej idzie jeszcze, czasy są krytyczne... (*ogłąda się*) nie ma nikogo. Nie chciałbym, aby mnie na sekretnej rozmowie z panem widziano.

D'ASCH (*uśmiechając się*).

Zdaje się, że pan nie masz już nic do stracenia!

ZAPONI.

Przepraszam, rehabilitowałem się, postrzeliłem majora Rubańcowa, uchodzę za patryotę. Zresztą miano mnie zaw-

sze za łotra — ale nie za jurgieltnika... To wielka różnica. Jestem człowiek honorowy.

D'ASCH.

Doprawdy! o tém nie wiedziałem.

ZAPONI.

O cóż idzie?

D'ASCH.

Są czasem niewygodni ludzie... Nikt z nas okrutnym nie jest, lecz bywają okoliczności, w których tak ktoś zawadza, że go z drogi zsunąć trzeba.

ZAPONI.

Doskonale rozumiem, gdybyście mogli, wywieźlibyście go w Sybir, ale teraz jakoś nie wypada.

D'ASCH.

Zawieszono te środki; musimy uciekać się do innych...

ZAPONI.

Doskonale... Pozbyć się go chcecie na zawsze, czy..

D'ASCH.

Choćby tylko chwilowo, aby czas jakiś nie mógł tak bardzo być czynnym.

ZAPONI.

Starczy na to dobre płótnięcie, aby lizać się musiał kilka miesięcy.

D'ASCH.

Rozumiemy się wybornie.

ZAPONI.

Któż to jest taki? szlachcic? żebym nie pospolitował się z ładą szerepetką.

D'ASCH.

A! na to pan nie będziesz wystawiony... dobrze urodzony młodzieniec, poseł na sejm, podczaszyc Kierdej.

ZAPONI.

Znam! znam całą tę zacną rodzinę, tęgi chłop!

D'ASCH.

Tém lepiej, że znajomy, łatwiejszy pretekst do kłótni.

ZAPONI.

To mała rzecz, gdy mi potrzeba, zawsze znajdę sposób. A cóż tedy zrobić z nim chcecie?

D'ASCH.

To pańska rzecz, wyzwąć, porąbać, ranić.

ZAPONI.

A gdybym przypadkiem zabił?

D'ASCH (*ruszając ramionami*).

No, to byłby zabity.

ZAPONI.

A ja?

D'ASCH.

Pan wyjechałbyś w podróż za granicę.

ZAPONI.

Do wód! Ale chłop młody, tęg, zdrów... to komplikuje zadanie.

D'ASCH.

Wszystko się daje ocenić. A zatém...

ZAPONI.

Cóż? a zatém.

D'ASCH.

Podejmujesz się pan?

ZAPONI.

Kto? ja? któż to panu powiedział?

D'ASCH.

Przecież umawiałeś się?

ZAPONI.

Nie, wypytywałem się tylko, bo lubię wiedzieć wszystko dokładnie.

D'ASCH.

I cóż myślisz?

ZAPONI.

Ważę... Muszę przecież wiedzieć warunki. Mam się bić z tęgim rębaczem i to pod bokiem sejmu, i dla waszego pożytku... narażam reputację, to coś warto.

D'ASCH.

Kazano mi powiedzieć, iż się targować nie będą. Dyskrecya rozumié się samo przez się.

ZAPONI.

Dla człowieka honorowego to rzecz święta. *(po chwili)*
Wié pan co? Na wszystko zgoda... ale gotowizna *praenu-merando*.

D'ASCH.

A któż nam za pana ręczy?

ZAPONI.

Mój honor! *(uderza się w piersi)*.

D'ASCH *(po chwili namysłu)*.

A!...

(Mówią po cichu. Zaponi chowa coś do kieszeni i podaje rękę panu D'asch, który jęj końcem palców dotyka).

Im prędzój się to spełni, tém lepiój. Pośpiech nawet jest warunkiem koniecznym, bo patryoci skupiają się, spiskują, a odebrać im go potrzeba.

ZAPONI.

Jak sądzicie? gdziebym się mógł z nim spotkać?

D'ASCH.

Sądzę, że najłatwiej tu w ogrodzie, i to nie bawiąc. Miał być na obiedzie u marszałka, i tędy będzie powracać.

ZAPONI.

W każdym razie, przyznasz mi to baronie, iż niełatwo znaleźć człowieka tak wytrawnego, tak pewnego, tak dyskretnego, nie chwając się jak ja... Panowie macie szczęście do ludzi....

D'ASCH.

Zgadzam się na wszystko co chcesz, ale puszczaj mnie bo spieszyć muszę. Nie powinien nas nikt widzieć w rozmowie z sobą....

(idzie i wraca).

Jeślibyś go tu się nie doczekał, to przy wyjściu z teatru; postaramy się o to, aby go tam wprowadzono.

ZAPONI.

Proszę się spuścić na mnie... (*do siebie*) Chwała Bogu, że w téj kochanej Warszawie na robocie nie zbywa...

SCENA III.

ZAPONI. KSIĘŻNA zbliża się, idąc ulicą,

KSIĘŻNA.

Jak się masz, kapitanie.

ZAPONI (*na stronie*).

Miałaby słuchać, toby było szkaradnie! (*głośno*) Do nóżek się ścielę.

KSIĘŻNA.

Cóż to pan tak samotnie, używasz świeżego powietrza? Dawno pan tu?

ZAPONI (*na stronie*).

Nie słyszała. (*głośno*) Właśnie przechodziłem.

KSIĘŻNA.

Sam z myślami?

ZAPONI.

Tak jest, mościa księżno... unikam towarzystwa.... a pani?

KSIĘŻNA.

Ja powracam z przechadzki. (*na stronie*) Nie puszcę go teraz. (*głośno*) Co pan myślisz? co robisz z sobą?

ZAPONI.

Nic, mościa księżno, używam w istocie miłej aury, wśród tego naszego ślicznego saskiego ogrodu. Wśród tych starych drzew człowiek się czuje młodszym.

KSIĘŻNA.

Byłby zachwycającym w istocie ogród ten, gdyby w nim się z takim tłumem nie spotykało.

ZAPONI (*na stronie*).

Mogłaby już sobie iść do domu... a nuż on nadejdzie.

KSIEŻNA.

Dzień dziś śliczny.

ZAPONI.

Bardzo ładny. *(na stronie)* Gdyby sobie poszła...

KSIEŻNA *(zbliżając się do niego)*.

Kochany kapitanie, spotkanie nasze dzisiejsze prawdziwie opatrnościowem jest dla mnie. Miałam do was interes, myślałam o was.

ZAPONI.

Księżna! o mnie! cóż za szczęście! Ale w czémżebym jej mógł służyć?

KSIEŻNA *(zniżając głos)*.

Sprawa bardzo ważna, której tylko panu zwierzyć się mogę.

ZAPONI *(na stronie)*.

Tam do kata! czy nowa robota!

KSIEŻNA.

Widujemy się już tu od lat kilku, powzięłam dla pana szacunek.

ZAPONI *(na stronie)*.

Jużciż się we mnie nie zakochała.

KSIEŻNA.

Mam do pana zaufanie.

ZAPONI *(na stronie)*.

Pierwszy raz w życiu mi się zdarza, żeby kto miał zaufanie do mnie. *Saperlotte!!* *(głośno)* Niech księżna raczy wierzyć, że starać się będę je usprawiedliwić.

KSIEŻNA.

Chciejże mnie pan posłuchać. Mam tu przyjaciela młodości, który niedawno przybył do Warszawy. Jest to mój bliski krewny, wychowaliśmy się razem, kocham go jak brata.

ZAPONI.

Tego mu nie zazdroszczę, mościa księżno; on też pewnie wolałby być kochanym inaczej.

KSIEŻNA.

Nie żartuj pan, to sprawa bardzo seryo.

ZAPONI.

Słucham pani. Mogę wiedzieć jego nazwisko?

KSIEŻNA.

Kuzyn mój, podczaszyc Kierdej.

ZAPONI (*odskakując*).

Podczaszyc Kierdej!... szczególna rzecz! osobliwsza rzecz!

KSIEŻNA.

Cóż pan w tém tak osobliwego znajdujesz?... Znasz go pan?

ZAPONI.

Ale znam, znam... to jest znałem go dawniej. O cóż idzie, co pani każe?

KSIEŻNA (*poufnie*).

Mój kapitanie, ty tu w Warszawie znasz wszystkich, masz ogromne stosunki, jesteś wiele znaczącym.

ZAPONI (*na stronie*).

W przedpokojach! (*głośno*) Nadto mi księżna przyznaje ale o cóż idzie, juści nie o wyrobienie orderu przez Ryxa?

KSIEŻNA (*poufnie*).

Nie wiem, jak się to stało, bo to bardzo dobry, miły człowiek, jednakże naraził się podobno niektórym... tu... pewnym... sferom... jest im solą w oku, będą nań zastawiać zasadzki i sidła — jestem tego pewną. Chcę go wam oddać w niewidzialną opiekę.

ZAPONI (*wybuchując śmiechem*).

Mnie? cha! cha! cha! mnie? a to paradne!

KSIEŻNA.

Tak jest! wam, panie kapitanie. Rozumiem doskonale, iż to wam wiele czasu zajmie i kłopotu będzie kosztować, trudno abyście z siebie ofiarę dla niego czynili, lecz... oceńcie to, jak się wam podoba, a nie odmawiajcie.

ZAPONI (*na stronie*).

Tom wpadł... (*milczą*).

(*na stronie*) Hm? cóż tu robić?

KSIĘŻNA.

Co do wywdzięczenia się mojego, nie czyńcie ceremonij, nie unosić się delikatnością... możecie żądać, co się wam podoba, a spełnijcie, o co proszę. On jednak nic o tém wiedzieć nie powinien.

ZAPONI.

Prawdziwie! hm. Księżna daruje, ale to rzecz potrzebująca namysłu.

KSIĘŻNA.

Lecz dla mnie to sprawa niezmiernie pilna... proszę, proszę, kapitan mi się tego podjąć musisz.

ZAPONI.

Nie mogę! mościa księżno! bardzo mi żal, nie mogę. Aby się podjąć być młodego człowieka stróżem i obrońcą, potrzeba przynajmniej znać go lepiej, mieć do tego jakieś prawo. Trąciłoby śmieszością, gdybym mu się na nieproszonego opiekuna narzucał.

KSIĘŻNA.

Ja pana proszę, ja bardzo proszę — warunki! mów pan warunki.

ZAPONI (*zmięszany*).

Ale ja nie jestem do najęcia, mościa księżno — ja nie mogę. (*na stronie*) Dla pięknych oczek księżnej i jakiego prezenciku postradać łaski ambasadora... piękny handel!... (*głośno*) Słowo daję, że nie mogę.

KSIĘŻNA.

Dlaczego? mów pan! dlaczego?

ZAPONI.

Być niańką i guwernerem dorosłego człowieka, to nie dla mnie rola.

KSIĘŻNA.

Miałoby to być ostatnie jego słowo?

ZAPONI.

Bardzo mi żal, ale, na honor, odpowiedzieć inaczej nie mogę.

(*milczenie*).

KSIĘŻNA.

Czy pan chce, żebym ja mu powiedziała, dlaczego?

ZAPONI.

Cóż to ma znów znaczyć?

KSIĘŻNA.

Więc powiem waćpanu otwarcie... Nie możesz być obrońcą tego, za którego życie wzięłeś pieniądze, na którego napaść przyrzekłeś przed chwilą... Rozumiesz mnie pan, panie kapitanie.

ZAPONI (*stoi długo zamyślony*).

Doskonale rozumiem, mościa księżno. Wasza książęca mość raczyłaś nas podsłuchiwać, a myśmy widząc ją, umyślnie z baronem odegrali tę komedijkę, aby księżnie odebrać gust do podsłuchów.

KSIĘŻNA.

Jeśli myślisz, że uwierzę temu, mylisz się bardzo.... nadto znam was, waszego współnika i sprawę, o którą idzie.

ZAPONI.

Sądź więc pani, co się jój podoba... mnie to — prawie obojętne.

KSIĘŻNA.

I obojętném będzie, gdy to, com słyszała, powtórzę po salonach, rozgłoszę. I gdy powiem, żeś waćpan służką i płatnym zbirem ambasadora.

ZAPONI (*chłodno*).

Nie, pani tego nie uczynisz, zastanowiwszy się trochę Kapitan Zaponi ma téż z pozwoleniem gębę i pamięć, a wie bardzo dużo rzeczy. Kapitan Zaponi nie czyni nic gorszego od tych, którym z téj samej kasy płacą, aby także wciągali ludzi w błoto... i zdradzali więcej niż pojedynczych człowieków, bo sprawę własnego kraju. W rządzie tych ludzi

na rejestrze znajduje się ktoś, dobrze pani znany i bardzo
ej bliski. Kapitan Zaponi może na to dostarczyć dowodu.

KSIEŻNA (*zakrywając oczy*).

Ratuj mnie Boże! to potwarz niegodna!

ZAPONI.

Ani potwarz, ani plotka, ale wiadomość z autentycz-
nego zaczerpnięta źródła. Z szanownym ojcem w. ks. mości
kolegujemy! służymy jednemu panu, tylko z tą różnicą, że
ja mam rolę podrzędną i ciemną, a pan wojewoda gra swoją
w sześciokonnéj karecie, w oczach całego świata.

KSIEŻNA (*pada na ławkę, zakrywając oczy*).

Bóg mnie ciężko karze!

ZAPONI (*na stronie*).

Dosyć jestem człowiekiem honorowym, nie będę się zne-
cał. (*głośno*) Do nówek się ściele w. książęcej mości! Mam
nadzieję, że wspólny nam interes zapewni obustronną dyskre-
cyę. Wyzywać mnie nie należy, a milczeć będę jak mur....
Do nóg upadam.

(*odchodzi*).

SCENA V.

KSIEŻNA i KIERDEJ który zdala idąc ostatnie słowa dostyszał, zbliża się.

KIERDEJ.

Co pani jest! na Boga! łyż na oczach!

KSIEŻNA (*ocierając je prędko i wstając*).

A! nic mi — nic! To pan! to wy! to ty!... to ty!..
panie Stanisławie... jakże się cieszę... ja was, ja ciebie tak
widzieć pragnęłam... A! patrz... suche już mam oczy...
usta mi się śmieją, jestem szczęśliwa... widzę ciebie...

(*chwytając go za rękę*) nie odchodź, proszę... szukałam cię...

KIERDEJ (*z dumionym, wpatruje się w nią długo i powoli
odzywa*).

Cóż za zmiana! Od mojego przyjazdu widzimy się

raz trzeci... za każdym razem znajduję księżnę inną... tak różną... tak dla mnie niezrozumiałą, że pojąć tego nie mogę. Gdzie mam szukać przyczyny tego postępowania? w sobie? w was?..

KSIEŻNA (*poważnie*).

Gdybym wszystko ci powiedzieć mogła, dwa słowa by ci mnie wytłumaczyły... o! Stasiu! jestem nieszczęśliwą... święty obowiązek usta mi zamknął na siedm pieczęci, mówić nie mogę... nie mogę... Od przybycia waszego podwójnie, stokrotnie jestem nieszczęśliwszą.

Po latach tylu, po przygodach tylu; pragnęłam w oczach twoich stanąć czystą... niepokalaną, taką jaką stałam u boku twego, tam, w złotych dniach dzieciństwa naszego... a los stawia mnie czarną, zbrukaną i niezrozumiałą dziewczynką... O Stanisławie! to serce rozdziera...

KIERDEJ (*wzruszony*).

Księżno! Maryo! jam przecież nigdy nie zwątpił o tobie, o twe nieszczęścia obwinałem ludzi, złe miałem za potwarz, czciłem cię jak niegdyś, nawet gdy cię pojąć nieumiał... Wierzyłem i wierzę w ciebie...

KSIEŻNA.

O złote słowa pociechy! bądź za nie błogosławiony! balsamem zranione goisz serce... Bóg ci to tylko zapłacić może... Tyś dobry, tyś szlachetny... daj mi czas, bądź cierpliwy, pokażę ci się taką jaką jestem... Na rękę na ustach, na sercu noszę kajdany, które otrząsnąć wprzód muszę, w oczach twych obwinia mnie wszystko, ty jeden mnie uniewinniasz! Bądź błogosławiony.

(*Ogląda się bojaźliwie*).

Powtórz mi — powiedz raz jeszcze, że bądź co bądź ufać mi będziesz...

KIERDEJ.

Gdy słucham głosu twego, gdy patrzę w twe oczy, nie może być inaczej, ufam ci ufnością bez granic.

KSIEŻNA.

O! wielki ciężar spadł mi z serca... a teraz słuchaj, przyszłam tu do ciebie, dla ciebie, z przestrogą. Przypadek dziwny odkrył mi zamach, jaki knują przeciw tobie.

KIERDEJ (*śmiejąc się*).

Zamach! na mnie! A! zaprawdę, zbyt wiele by mi uczyniono honoru!

KSIEŻNA.

Są ludzie którzy się ciebie i twoich przyjaciół a współtowarzyszów obawiają, którzy by was rozproszyć chcieli, przeszkodzić temu — ja niewiem — co wy dokonać chcecie. Nie dziwię się, że do ciebie przywiązują wagę, w ich oczach ty wodzem jesteś.

KIERDEJ.

O! najmniejszym z żołnierzy tylko.

KSIEŻNA.

Chcieliby się pozbyć ciebie... usunąć cię.

KIERDEJ.

Ciekawym w jaki sposób?

KSIEŻNA.

Dla nich wszystkie dobre? Nasadzić mogą kogoś co szukać będzie powodu do sporu, zaczepki... nastawią zbiorów. Zaklinam cię, bądź ostrożnym.

KIERDEJ.

Dziękuję za przestrogę, ale mnie się to widzi niepodobieństwem, a zbytniej doprawdy troskliwości waszej przypisuję to, że coś podobnego przypuszczacie. Niewierzę! musiałbym być zbyt dumnym.

KSIEŻNA.

Przysięgam ci że mówię prawdę... Strzeż się...

KIERDEJ (*z dumionym*).

Wszystkiemu z ich strony wierzę... ale cóż ja tu i moja gromadka znaczy! (*zamyśla się*).

KSIEŻNA (*żywo*).

Staraj się unikać spotkań, znajomości, rozmów, samotnej przechadzki, zaklinam...

KIERDEJ.

Ja się ich nie lękam.

KSIEŻNA.

Bo ich nie znasz.

KIERDEJ (*smutnie*).

Przyszliśmy więc do tego, że między nami mogą znaleźć najemnika, który się targnie na brata...

KSIEŻNA.

Strzeż się! zaklinam.

(*Za sceną słychać gwar nadchodzących*).

KIERDEJ.

Kogo się mam strzedz?

KSIEŻNA (*wachając się*).

Między innemi i tego kapitana Zaponi, którego znasz pono.

KIERDEJ.

Bardzo mało.

KSIEŻNA.

Jakaś gromada ludzi nadciąga, chodźmy ztąd... Daj mi rękę, nie puszczę cię... Musisz mnie odprowadzić... Co to za ludzie?

KIERDEJ.

A! to nasi poczciwi mieszczanie z którymi właśnie, mam polecenie rozmówić się... powrócę tu...

KSIEŻNA.

Tu? koniecznie! O mój Boże? odprowadź mnie przynajmniej, to się może przeciągnie...

(*wychodząc*).

SCENA VI.

W chwili gdy Księżna z Kierdejem wychodzi w lewo, z prawej strony rozmawiając nadciągają mieszczanie. Wszyscy oprócz Obermana w strojach polskich. KILIŃSKI, MORAWSKI, DĄBSKI, TOMAŃSKI, OBERMAN, ŻEBRAK bez maski.

KILIŃSKI.

Tak jest panowie obywatele, nastały lepsze czasy, chwalić Boga, ludźmi przecież być poczynamy... człowiek wolniej oddycha... Na ulicy żołnierze obcy się nie ukazują, mieszczanin pogardzanym nie jest, ojczyzna miła dawniej swobody się dobija... Ot co...

MORAWSKI.

Dobrze mówi pan Kiliński.... trzymajmy się tylko, a nie dajmy się... i jak ojczyzna powoła swe dzieci, kto z czém ma do jej boku... ja z toporem bom rzeźnik...

KILIŃSKI.

A ja z szablą, bo szydłem chyba bym oczy wykalał...
(*śmieją się wszyscy*).

TOMAŃSKI.

U mnie się młot znajdzie... i pilnik niczego...

DĄBSKI.

A i hebel się przyda...

ŻEBRAK (*stojący nieco opodal cicho nuci*).

Polska miała pszczołek ulem.,.

Lud nas przestaje mrzeć głodem...

Vivat! vivat naród z królem!

Vivat! vivat król z narodem...

WSZYSCY (*wtórują z cicha*).

Naród z królem!

Król z narodem!

OBERMAN *kręcąc głową*.

A! no! a! no! Gadajcie zdrowi, panowie patrioci, a ja się starego trzymam i trzymać będę... Dawniej lepiej było. Pan był panem, szlachcic szlachcicem... mieszczanin mieszczaninem, chłop chłopem... Teraz się to wszystko pomię-

szalo, groch z kapustą. Tylko co nie widać jak mi tu cham przyjdzie domy nasze kupować i w Radzie się rozsiadać... kroć sto tysięcy basałyków... a co mi potem! Co do Moskali zaś prawda, że tam który czasem przez plecy nahajką skropił, ale brali, czasem płacili a starszyzna przez pychę sypała pieniędzmi między ludzi... Teraz niby to mieszcza- nie górą i patryoci — ale patryoty to golizna! co mi potem! A że szlachcice się z nami całują... ho! ho! to nie bez ko- zery, ino patrzeć jak do kieszeni sięgną... albo nam dadzą karabiny w prezencie abyśmy się za nich bili — a mnie to na co?? a mnie to do czego!

ŻEBRAK (*pół głosem*).

Ma pan Oberman racyją... ma racyją... kiedy komu w gnoju dobrze albo w błocie, czemu się nie ma na drugi bok przewrócić. I Moskale są dobre ludziska... bili po pys- kach ale się za to kazali w ręce całować...

OBERMAN.

Słyszycie — oto już i taki łachmaniarz się miesza i nau- ki daje.

TOMAŃSKI.

Bravo! dobrze powiedział! dali pan...

INNI.

Bravo! Bravo!

KILIŃSKI (*do Obermana*).

Dałbyś bo asan pokój, my o tem słuchać nie chcemy...

ORERMAN.

Wy swoje, ja moje, a nie w ład? to dobranoc...

(*odchodzi*).

ŻEBRAK.

Idź, idź do tych, których ukochałeś...

MORAWSKI.

Że też są ludzie jeszcze co tak bredzić mogą?

ŻEBRAK (*zawsze zdala*).

Zechcieliście panie majstrze... jest takich dosyć mię-

dzy panami, jest między szlachtą, a żeby między ichmościami być nie miało?

KILIŃSKI.

A no prawda, śmiecie wszędzie znaleźć nawet i w kościele...

MORAWSKI.

Pocóżecie nas tu zwołali?

KILIŃSKI (*oglądając się*).

A niema tu drugiego jakiego Obermana między nami?

MORAWSKI.

Nie — sami swoi — mówcie śmiało.

KILIŃSKI.

Prosiłem waszmościów, panów cechowych i starszyznę tu do ogrodu... bo to i my tu nie tak na oku... wszystkim ogród otwarty a trzeba pomówić o ważnych rzeczach.

TOMAŃSKI.

Mówcie tylko słuchamy...

KILIŃSKI.

Byłem u Marszałka Małachowskiego, bo po mnie prosząc przysyłał. Coś się nam dobrego święci dla kraju, tylko by źli ludzie dobrej pracy nie radzi dopuścić do pożądanego końca. Zbliża się godzina, że Sejm ogłosi nad czém się tyle napracowali. Nieprzyjaciół też czuwa, aby popsuł i pomieszał szyki... Pytał mnie pan Marszałek czy my też jako dobre dzieci miłej ojczyzny, w stanowczej godzinie staniemy do szeregu?

WSZYSCY.

A jakże! a juściż!

MORAWSKI.

Alboż wątpi? to by nam krzywdę czynił? albo to nas nieszczęścia wspólne nie bolały, gdy się tu obcy rozpościerali i rządili jak szare gęsi... Siedział król na zamku malowany, a ambasador mu rozkazy woził, a hetman mu się po pijanemu urągał, a własne szambelany go szpiegowwały.

Czy to my tego nie wiemy? Senatorów co lepszych brali na Sybir — czy to nas nie bolało i nie sromało?

TOMAŃSKI.

Teraz przecie dość tego — musi być raz inaczej.

KILIŃSKI.

Teraz i ja mu zaręczył, że jak mieszczan zapotrzebują, choćby gardło dać przyszło — stawim się... Na to pan Marszałek powiada, idźcież tam proszę a powołajcie zaufanych, przyślę wam tam Kierdeja, posła kaliskiego, ten wam powie co czynić i dzień i godzinę naznaczy i wszystko co się należy...

MORAWSKI.

A kiedyż to ma być?

KILIŃSKI.

Ja się go tu spodziewam, ino nie widać, bo pono już uradzono wszystko... chciał tu przyjść. — To ino wiem, że nam się trzeba zawczasu obwołać, aby co żyje było gotowe, aby kupa zebrała się duża... i cechowi i majstrowie i czeladź i chłopcy i co żyje tylko po warsztatach.

MORAWSKI.

To się zrobi w mgnieniu oka, czasu wiele nie potrzeba na to... każdy swoich weźmie i będziemy na zawołanie w pogotowiu.

KILIŃSKI.

Ale, panowie obywatele i bracia — język za zębami! Żywa dusza niema wiedzieć o tém co się sposobi... bo im by tylko tego i trzeba, by zawczasu sprowadzili swoich i burdę zrobili... więc to już kładnę na sumienia waszmościów.

TOMAŃSKI.

Weźmie się z czeladzi przysięgę, jeżeli potrzeba.

MORAWSKI.

Po co? nic nie gadać, ani pisać! Czeladzi kazać tylko domu pilnować, ani za próg, a gdy przyjdzie chwila, majster zawoła. Za mną, wiara, posłuszeństwo... i ruszymy jak jeden...

DĄBSKI.

To się dopiero dusza raduje... przecież to i my tu w kraju na coś się przydali i coś znaczymy...

KILIŃSKI (*kręcąc wąsa*).

A juścić! cicho... cyt... ktoś idzie...

WSZYSCY.

Cicho...

KILIŃSKI.

A no — nic, to nasz pan Kierdej, co nam go Małachowski przysyła... Chwała Bogu!

SCENA VII.

CIŻ — KIERDEJ wchodzi, kłania się i przybliża do Kilińskiego.

KIERDEJ.

Jak się ma szanowny obywatel Kiliński... Czyś mnie pan poznał?

KILIŃSKI (*witając się*).

A jakże panie pośle... (*wskazuje ręką*) Mamy honor gdy nas to szczęście spotyka, prezentować panu posłowi obywateli a panów braci mych, p. Morawskiego od topora, p. Tomańskiego od młota, p. Dąbskiego od hebla... wszystko obywatele godni, a ja, pokorny sługa, od szydła i dratwy.. ewentualnie zaś, choćby i od szabli...

(*wszyscy kłaniają się i otaczają go kołem*).

KIERDEJ (*ogląda się i wskazuje żebraka*).

A... ten...

ŻEBRAK.

A ja, mości dobrodzieju... jestem téż obywatelem od torby i kija... nie gorszy od innych i na coś się przydam, bo dużo się włóczę i wiele gadam — a jak trzeba milczę jak pień.

KIERDEJ (*do Kilińskiego*).

Co to za jeden? (*szeptając mu coś na ucho... potem głośno:*) To nasz!

KIERDEJ.

Mości panowie obywatele a bracia... przychodzę tu do Ichmościów nie z własnej woli, ale wydelegowany od wybranych z narodu do stanowienia praw... przemawiam do was, jako do nowych obywateli ojczyzny. .

MORAWSKI.

Słuchamy ochotnie rozkazów — mówcie, panie pośle, prosimy...

KIERDEJ.

O wspólne dobro nam chodzi, nasze i wasze... Gdy krajowi dobrze będzie, wszystkim jego dzieciom także się poprawi... W imie rzeczypospolitej mam do was prośbę, współobywatele. Lat oto cztery pracują ludzie nad pocziwemi prawami, których im źli i przewrotni przeczą i ogłaszać przeszkadzają. Dosyć czasu zmarnowano... pora temu koniec położyć.

MORAWSKI.

A no — i dobra pora...

KILIŃSKI.

To pewna...

KIERDEJ.

Tymczasem nieprzyjaciele dopuścić niechcą ogłoszenia prawa, które nas ocalić może i odgrażają się... Czyż uczciwi ludzie siły po sobie mieć nie będą?

TOMAŃSKI.

Staniemy wszyscy na zawołanie, jako jeden... do nogi. Na Boga się kniemy... tylko mówcie, kiedy?

KIERDEJ (*ciszéj*).

Panowie obywatele — jutro ma być ogłoszoną konstytucya — Trzymaliśmy w tajemnicy, ale już podobno ją zwie-trzono. Zlecą się wraz duchy aby jęj nie dopuścić... Trzeba im pokazać, że i nas téż jest gromada... Marszałek was prosi na jutro, na rano, jako świt — Kto żywy, kto dobry Polak... Magistrat... cechy, panowie majstrowie, czeladź... prosimy na zamek... Otoczcie Sejm, piersiami zasłońcie

nas jako wałem, a nie waży się nikt przystąpić i nikt wystąpić...

WSZYSCY.

Staniemy jak jeden — Gotowiśmy!..

KILIŃSKI.

A z czém przychodzić? boć nie z gołemi rękami? pożał się Boże!

KIERDEJ.

Z gołemi! tak, panowie obywatele. Staniecie nie do boju, ale na świadectwo prawdzie... nie będziemy siły innej potrzebowali nad tą jaką nam da poparcie ludu... nikt na nas nie będzie się śmiał targnąć... Wyjdźcie uroczyście z chorągwiami, jak na powitanie wielkiego gościa odrodzonej ojczyzny naszej!

WSZYSCY.

Niech żyje król z narodem! Naród z królem! Vivat!

KIERDEJ.

Cicho na Boga! dziś to jeszcze tajemnicą być powinno, jutro dzień zmartwychwstania, radości, wesela...

(*milczenie*).

Zatém możemy na was rachować...

WSZYSCY.

Tak! tak! pójdziemy! pójdziemy wszyscy!

KILIŃSKI.

O czwartéj rano stanie nas dwadzieścia tysięcy na zamku... i nie ustąpimy aż nowa konstytucya ogłoszoną zostanie...

KIERDEJ.

Wielkie to dzieło wspólnem, waszem téż będzie dziełem... przyłóżcie i wy doń rękę...

A zatém — słowo — milczenie! hasło — Polska niepodległa... (*podaje rękę z kolei*) — Do widzenia panowie obywatele... do widzenia... jutro...

MORAWSKI.

Stawim się.

WSZYSCY.

Do jutra! do jutra!..

KILIŃSKI.

A teraz panowie, rozejdźmy się po jednemu... nie kupą... każdy w swą stronę, jakby nigdy nic...

(kłaniają się i wychodzą żwolna — Kierdej przysiada na ławce i opiera się na rękę... zamyślony. Z dala widać kołującego ulicą Kapitana Zaponi — KIERDEJ spostrzegłszy go, odwraca się i chce odejść — Zaponi zbliża się szybko).

SCENA VIII.

KIERDEJ. ZAPONI

ZAPONI.

Za pozwoleniem pana dobrodzieja — czy mnie oczy nie mylą? Wszak, pan podczaszy, Stanisław Kierdej?..

KIERDEJ *(poważnie)*.

Tak jest... do usług — chociaż prawdziwie, nie mogę sobie przypomnieć.

ZAPONI.

Na wsi u pani hetmanowej Ogińskiej w Sielcach, miałem honor być mu przedstawionym, kapitan w służbie niegdyś im wielkiego Fryderyka. Jerzy Sigiliusz Zaponi...

KIERDEJ.

A!... przepraszam!

ZAPONI.

Nie ma za co! Wolno panu było zapomnieć takiego jak ja mizernego człowieczyne... mnie zaś nie poznać podczaszyca, byłoby niedarowanem... Cóż pan tu porabia?

KIERDEJ *(ciągle żimno i trochę dumnie)*.

Ja? posłem jestem na sejm.

ZAPONI.

Na sejm! cha! cha!... Od czterech lat do unudzenia słyszę o tym sejmie co jak Penelopa, a raczej jak owa pani stara, to szyje to rozpara...

KIERDEJ.

Nie dziw — panie kapitanie — do szycia było dużo, i do rozparania jest nie mało.

ZAPONI (*szyderko*).

O! napruli też, napruli i porą wnętrzości staréj rzeczypospolitéj, aż patrzeć ból i wstyd... będziemy pono mieli z téj szlacheckiej republiki naszéj, jakąś turecką despotyczną monarchię.

KIERDEJ.

Jakto — naszéj? a cóż waćpan masz z rzecząpospolitą wspólnego?

ZAPONI.

Przecież otrzymałem indygenat na sejmie Ponińskiego.

KIERDEJ.

Doprawdy?

ZAPONI.

Tak jest... i wysoko szacuję ten klejnot...

KIERDEJ (*przypatruje mu się, mierząc go od stóp do głów i milcząc*).

ZAPONI.

Patryoci! pieczeniarze króla IMci! Co to się u nas patryotyzmem zowie, aby gardło szerokie, piersi dobre a słowa brzęczące — sensu nie pytać... Widział to kto podobne głupstwo — mieliśmy gwarancję najpotężniejszego mocarstwa, zrzuciono ją jako jarzmo, mieliśmy wolność, chcą niewoli. O! ci patryoci! patryoci!

KIERDEJ.

Przyznam się panu, że tę gwarancję istotnie trzeba za szkłem chować jak osobliwość! Gwarancję najdespotyczniejszego państwa, ręczącego za swobodę republikańską... Prawda... to była rzadka rzecz! (*śmieje się*).

ZAPONI.

Choćby nam i djabeł ręczył, byle silnym był... co mi tam...

KIERDEJ.

Przyznam się panu, że ja od diabła i wolności bym nie wziął...

ZAPONI.

A! przepraszam! omyliłem się, pan Podczaszyc należysz do patryotów! cha! cha!

KIERDEJ.

A pan, panie kapitanie — do?

ZAPONI.

Licz mnie pan gdzie chcesz... byle nie do tych patryotów, do których należysz.

KIERDEJ.

Niech się pan nie lęka... w jednym szeregu nie stanimy nigdy.

ZAPONI (*z przerwaniem*).

Przyznam się, że po synu czcigodnego Podczaszego Kierdeja coś lepszego bym się był spodziewał, nie takiej lekomyślności, by się dał im wziąć na plewy...

KIERDEJ.

Panie kapitanie — racz pamiętać, że ja już z małoletności wyszedłem i guwernera nie potrzebuję.

ZAPONI.

Bierz to pan jako chcesz... ja prawdę mówić zwykłem...

KIERDEJ.

Ja wcale tego nie biorę, ani tak, ani owak, oddaję wacpanu jego naukę, abyś sobie jęj użył dla kogo innego. Niemłodym pan jesteś, a z ludźmi mówić się nie nauczyłeś, i słowa mierzyć.

ZAPONI.

Uczyć pana nie myślałem... boć wiem że są ludzie co nauk nie przyjmują... a jeśli słowa moje nie w smak... no... toć stoję i nie uciekam i odpowiedzieć jestem gotów..

KIERDEJ (*śmiejąc się*)-

Cha! cha! Wiem, wiem o tem, panie kapitanie i za-

czynając rozmowę wiedziałem na czém się ona skończy.. Wiedziałem że pana tu spotkam, i że postarasz mi się coś podobnego powiedzieć, i że życzysz sobie zmierzyć cię ze mną... bo cię o to proszono...

ZAPONI (*zmięszany*).

Co to jest? jak mi to pan mówić możesz?

KIERDEJ.

Najprościej w świecie... Mógłbym nawet wymienić osobę, która pana o to prosiła i nieledwie co zapłacono...

ZAPONI (*gwałtownie*).

Kłamstwo! potwarz! obelga! Mościpanie... ja tego przebaczyć nie mogę! Jestem człowiek honorowy, nie służę nikomu — rozumiesz waćpan... rozprawim się.

KIERDEJ.

Z największą przyjemnością służyłbym każdemu, ale panu, to chyba... stojąc w obronie od napaści... Przypominam wam, że dobyte szablę pod boki króla, w czasie sejmu, gardłem się płaci...

ZAPONI.

Obraza honoru! Ja nie mogę jej darować... broń się pan.

KIERDEJ (*powoli dobywa szablę*).

Broni się nawet od psa... nie ma na to rady...

ZAPONI.

Broń się... do trzykroć...

(*napada nań z szablą, Kierdej broniąc się z krwią zimną*).

KIERDEJ.

Gorąca bestyja! bez świadków...

ZAPONI (*bijąc się*).

Innych oprócz pana Boga nie potrzebuję...

KIERDEJ.

I tego imienia nie wahasz się pan użyć!

ZAPONI.

Piekło... szatany!

(*biją się. Zaponi naciera gwałtownie. Kierdej z chłodną krwią się obrania... milczenie. Po chwili Zaponi rani w rękę*

*Kierdeja, który w téjże chwili tnie go w głowę... Kapitan
upada w tył krzycząc:)*

Djabli wzięli!

*(zdala nadciągają przechadzający się wołając, — Gwałt!
zabójstwo... pacholków. — Kierdej ocierając szablę zawią-
zuje rękę i z wolna odchodzi...)*

KTOŚ Z TŁUMU *(schyla się nad Zaponim).*

Płatnięty szkaradnie — bodaj mu się nie wiele należy!
ledwie dysze...

D'ASCH.

Co to jest? *(spogląda na leżącego)* koniec świata! Za-
poni bez ducha!.. Cóż się stało...

ZAPONI *(słabym głosem).*

Żeby was pioruny tłukły z waszą sprawą... ot..
djabeł duszę weźmie!!

Zastona spada.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

A K T IV.

(Pokój w pałacu Wojewody — Wieczór późny, zegar wskazuje godzinę jedenastą — Lampa na stole — Krzesła do koła — Drzwi jedne w głębi, drugie z prawej strony).

S C E N A I.

WOJEWODA wchodzi zwolna, zamyślony, w kapeluszu na głowie, zdejmując go i kładzie na stole, ściąga rękawiczki powoli, i znużony upada na krzesło, podpierając się na rękę.

Napróżne to są te wszystkie ich przywidzenia i trwogi, nic pewnego dowiedzieć się nie można! Dziecinne domysły i plotki, baśnie rozsiewane przez próżniaków co nami zwykli bałamucić ludzi, lub grosz wyłudzać...

W gruncie niema nic! Ambasador spokojny i szydzi sobie znowu z ich strachów... On wie wszystko najlepiej.

S C E N A II.

WOJEWODA, KSIĘŻNA ukazują się ostrożnie napół odmykając drzwi boczne i zagląda nieśmiało. Po chwili wchodzi.

KSIĘŻNA.

Wróciłeś nareszcie, kochany ojcze! a! jakżem rada.

WOJEWODA.

Tak, przed chwilą dopiero, i bardzo jestem zmęczony... bardzo...

KSIEŻNA (*wpatrując się w niego*).

Smutny jesteś, mój ojcze?

WOJEWODA.

Jak zwykle, raczej znużony tą nieustanną strażą, tą nieźnośnie przeciągającą się walką. A! mam już tego i dosyć i aż nadto!

KSIEŻNA (*żwwo*).

O gdyby to była prawda! gdybyś rzeczywiście nadto miał tego życia, usłuchał prośb moich, wycofał się z tego nieszczęsnego zamętu spraw publicznych co ci zatruwają wszystkie godziny. W twoim wieku nie dosyćże już! nie maszże prawa odpocząć! Powrócilibyśmy na wieś... w tym spokoju i ciszy, w zielonem, starem gnieździe naszym, szczęśliwie płynęłyby nam lata! Dla ciebie jak dla mnie miejsca te są drogie, wspomnień pełne. Nad niemi ulata cień świętej matki.

WOJEWODA (*wzdychając*).

Dziecko moje! ty nierozumiesz wcale tego życia, na które ja się skarżę. Tak jest, cięży mi ono, ale do niego jak pijak nawykłem. To trucizna, do której przywyka człowiek, a w chwili gdy jej zażywać przestanie, umiera. Tak jest ze mną, tu mi nie dobrze, a tam z tęsknoty i bezczynności we dwa dni umrzeć bym musiał.

KSIEŻNA.

A tu zamęczasz się bólem i walką nieustanną. O! nie! mylisz się, kochany ojcze, tam byś mi orzeźwiał, odmłodził — wróciłyby ci siły i ja przy tobie byłabym szczęśliwą.

WOJEWODA.

To złudzenie. Tak ci się zdaje, Maryo — a i ty do tej trucizny słodkiej nawykłaś, i ty byś już bez niej wyżyć niemogła.

KSIEŻNA.

O! nie mówcie tego, Ojcie — nie czytasz chyba w mem sercu i oczach! To życie codzienné jest mi wstrętniejszém. Możnaż to nazywać życiem? w masce chodzić dnie całe, uśmiechać się, do tych co w nas obrzydzenie wzbudzają, obcować z temi, którymi się pogardza, nigdy z serca nie dać się dobyć szczeremu słowu... A! to męczarnia, tortura — nie życie!

WOJEWODA.

To nasz żywot powszedni, dziecko moje, na który jesteśmy skazani. (*wzdycha*)...

Ale patrz, że jak to już późno! Czemu ty nie idziesz odpocząć... jesteś zmęczona także.

KSIEŻNA.

Chciałam się dowiedzieć o ciebie — zobaczyć cię (*zmięszana nieco*) i przyznam się... miałam jedną wielką, wielką prośbę do kochanego papy...

WOJEWODA (*żywo*).

Mów! rozkazuj! wiesz jak cię kocham! jeżeli to jest tylko w mojej mocy... jest spełnioną.

KSIEŻNA.

O! najzupełniej.

WOJEWODA.

Cóż to takiego? zaciekawiasz mnie, mów! proszę.

KSIEŻNA.

Nie, wprzód słowo mieć muszę...

WOJEWODA.

Dziwna jesteś, moja Maryniu, ale ja o niczém nie wiem.

KSIEŻNA.

Dajcie mi słowo, że moją prośbę spełnicie...

WOJEWODA.

Na miłość bożą! wiecie, że nigdy nie odmawiam méj jedynaczce, ależ przecie... muszę wiedzieć o co chodzi?

KSIEŻNA.

O rzecz bardzo małą...

WOJEWODA.

Więc mów o co?

KSIEŻNA (*całując go w rękę*).

Chciałam cię prosić abyś mi darował, mnie, którą jedynaczką nazywasz, jedyny jeden, dzień jutrzejszy...

WOJEWODA.

Jakto! nie rozumiem cię dobrze.? Cóż to znaczy ten dzień jutrzejszy, którego mamy jutro...?

KSIEŻNA.

Trzeciego Maja...

WOJEWODA.

Nie rozumiem? imieniny czyje? urodziny, feta? niespodzianka?

KSIEŻNA.

A! nie! dziwactwo twój jedynaczki — Proszę cię o to byś jutro pozostał w domu i nigdzie nie wychodził.

WOJEWODA (*z dumionym*).

Nie rozumiem! To jakaś tajemnica? Dlaczegoż koniecznie jutro?

KSIEŻNA (*milczy i spuszcza oczy*).

Tak sobie...

WOJEWODA.

Jesteś jak sfinks enigmatyczna... wytłumacz mi się jaśniej...

KSIEŻNA.

Dajże mi słowo, że spełnisz o co proszę...

WOJEWODA.

Pardon! chère Marie! ale na końcu niecierpliwić mnie zaczynasz, obchodząc się ze mną jak ze zdzieciniałym starcem, którym nie jestem... Wszystko co czynię staram się sobie zawsze wytłumaczyć jasno. Muszę wiedzieć o co idzie. Mów otwarcie, przecież musi się to na czémś opierać. Znowu pewnie jakieś przywidzenie dziecinne. *Des lubies!*

KSIEŻNA.

Ale przypuściwszy nawet, żeby to były istotnie przy-

puszczenia czułości dziecięcej, dlaczegóżby pobłażliwy ojciec, raz w życiu nie miał dziwacznej nawet prośbie córki, za-
dość uczynić! Raz w życiu!

WOJEWODA.

Dlatego, że w ogóle dziecinny takim fantazyom
chorobliwym dogadzać się nie godzi.

Ale — dosyć tych zagadek — zmęczony jestem. .
mów otwarcie.

KSIEŻNA.

Widzę więc, że zmuszoną będę się wytłumaczyć. Po-
wiem otwarcie — tak jest — lękam się o ciebie. Nie chcę
ażebyś się jutro znajdował na sali sejmowej. Zatrważające
wieści chodzą w tym dniu jutrzejszym... Kilka rodzin ode-
brało listy ostrzegające. Obawiają się jakiegoś zamieszania...
mówią nawet o krwi przelewie.

WOJEWODA (*wybuchając śmiechem głośnym*).

Cha! cha! cha! Jutro! To przedziwne! Któż cię to
tak doskonale wtajemniczony poinformował? Doskonałe!
Ależ to jakaś mistyfikacya! *Mais c'est absurde!* Najmniej-
szego niema prawdopodobieństwa. Ambasador zupełnie spo-
kojny — a on przecie najlepiej wie o wszystkim! Gdzież?
co? po co? dla czego? *cela n' a pas le sens commun!*

KSIEŻNA (*urazona*).

Ambasador choć na ten jeden raz omylić się może...

WOJEWODA.

On? nigdy? *il est infaillible!* Śmiechem się okryją ci
co takich nedorzecznych plotek słuchają... Z czegoż by na-
gle do wojny domowej przyjść miało? Kują tam jakąś po-
no nieszczęśliwą konstytucyą od lat czterech, a miała by się
jednej nocy narodzić? *Allonc done! Allons donc!*

KSIEŻNA.

Któż wie? przecie to możliwe... Patrioci zrozpaczeni,
znieczierpliwieni, że im dotąd nie dopuszczono dokonać co za-
mierzali — w rozpaczę mogą się zdobyć na zamach gwał-
towny...

WOJEWODA.

Wierzaj mi, nie znasz ich — to są gęby nie ludzie.

KSIEŻNA.

Ale, kochany ojcze, choć by to było bajką — kiedy ja błagam, mógłbyś coś dla mojej uczynić spokojności...
Ja tak cię mało o co proszę...

WOJEWODA.

To prawda! ale moja Maryo, my nie zależymy od siebie... daj mi pokój! Zaręczam ci — to po prostu śmieszność! Gdy by było najmniejsze podobieństwo... cień ja-
kiś... jabym już o tem musiał wiedzieć...

(*wstaje*).

A!... chciałem ci już dać dobranoc, ale przypominam sobie, że i ja przyniosłem nowinę... Tylko że moja od twojej prawdziwsza, niestety!

KSIEŻNA

Cóż takiego?

WOJEWODA.

Wystaw sobie... Nasz dobry znajomy i kuzynek a twój przyjaciel, ten Kierdej...

KSIEŻNA (*z przestrichem załamując ręce*).

O Bożeż co się z nim stało? raniony? zabity? — Oj-
cze! mów!

WOJEWODA (*z uśmiechem*).

Ale jakże cię gorąco obchodzi.

KSIEŻNA (*blagajaco*).

Na Boga! zaklinam, mów ojcze, przez litość, mów!
nie trzymaj mnie w niepewności — Kierdej...

WOJEWODA (*żimno*).

A! nic strasznego... ranny...

KSIEŻNA (*zrywając się*).

Ranny! może niebezpiecznie... Ja lecę! ja go widzieć
muszę.

WOJEWODA (*wstrzymując ją — surowo*).

A! to byś się dopiero ślicznie w oczach ambasadora

postawiła (*chwytając ją za rękę*). Miasto plotkarskie. Ani krokiem ztąd — zakazuję, nie pozwalam...

KSIEŻNA (*wyrywając rękę*).

Ranny!

WOJEWODA.

Dzieciństwo! Co to dla mężczyzny znaczy! W rękę go ciął ten Zaponi! Gorzej, że podobno on tak ciężko w głowę cięty przez Kierdeja, iż bodaj nie wyżyje. Mówiono nawet, że zabity...

KSIEŻNA.

O! dobrze mu tak! Z tego się cieszę. To palec Boży!

WOJEWODA (*z uśmiechem*).

Jakże dziś jesteś mściwa! Może to jednak i dla Kierdeja nieprzyjemne mieć skutki — pójdzie pod sąd. Pod boki Króla i Sejmu dobyć szabli to sprawa gardłowa...

KSIEŻNA.

W obronie życia! będąc zmuszonym.

WOJEWODA.

Ale któż tam wie o tem jak to było

KSIEŻNA.

Ja wiem! jestem pewną! to była niepoczciwa zasadzka... ten człowiek nikczemny był kupiony.

WOJEWODA (*ogłąda się przestraszony*).

Cicho!! co pleciesz? cicho!!

KSIEŻNA (*poruszona*).

Ja wiem, ja wszystko wiem...

WOJEWODA (*z gniewem*).

Jakim sposobem? Śmiałaś więc podsłuchiwać! Maryo! ty...

KSIEŻNA (*żimno*).

Stałam za drzewem w Saskim ogrodzie, gdy tego niecnotę kupowano...

WOJEWODĄ (*na stronie*).

Oddycham — nie słyszała nas rozmawiających. (*głośno łagodniej do Maryi*) — O tém wszystkim, bardzo cię pro-

sze, nikomu ani słowa. To ci się przywidziało, przysłyszało... To są rzeczy, o których wiedzieć nawet bywa niebezpiecznie, których się niepowinno widzieć ni słyszeć... a jeśli się o nich przypadkiem wie — należy zapomnieć...

KSIEŻNA.

Tak; najlepiej nie mówmy o tych obrzydliwościach — wracam do prośby mojej natrętnej, kochany ojciec. Ty jutro nie wyjdiesz.

WOJEWODA. (*rusza ramionami*).

Uspokójże się i mnie daj spocząć — ja się tego straszego jutra wcale nie lękam... (*Pukanie do drzwi... Księżna przysłuchuje się chwilę, całuje w rękę ojca i wybiega mówiąc*).

KSIEŻNA.

Nie puszczę cię jutro!

WOJEWODA (*patrząc na drzwi i na zegar*).

Ale któż to być może tak późno?

SCENA III.

WOJEWODA — HETMAN wchodzi z trzaskiem otwierając drzwi, w sukniach porozpinanych, kapelusz w ręku, zasapany — Ogląda się bacznie dokoła i pada na fotel ocierając pot z czoła.

HETMAN.

Ha! nie ma nikogo?

WOJEWODA.

Jak widzicie — ale zkadże w tej godzinie pan Bóg prowadzi?

HETMAN.

Pytaj chyba zkad mnie djabeł niesie, bo widocznie wszyscy diabli w ręce sprawę wzięli, leciałem tu jak oparzony... Musimy radzić, robić coś trzeba — nie mamy chwili do stracenia...

WOJEWODA.

Cóż takiego? co się stało?

HETMAN.

Słuchaj, kochany Wojewodo! pamiętasz com ci mówił na reducie, iż coś jest, co się knuje...!

(oglądając się)

Ale niema tu nikogo! nikt nas nie podsłucha? Był tu ktoś u was gdy pukałem...

WOJEWODA.

Nie ma żywej duszy, była moja córka, odprawiłem ją spać.

HETMAN (*żywo*).

Tak jest, knuje się coś. Dawno o tem wiedziałem, donoszono mi, że pan Ignacy, mój ex-pylades, podkanclerzy, król, Piatoli coś machinują... Wiedziałem że jest spisek. Taili się z tem tak mądrze, iż dotąd nic nad to dobadać się nie mogłem. Dla tego posłowie nasi porozjeżdżali się sobie bezpiecznie na Wielkanocne święta i spokojnie szynki wążkują; drudzy ledwie w drodze z powrotem i jeszcze ich tu nie ma... nas mała garść niedobitków, a patryoci swoją szajkę sprowadzili, łotry, i u nich wszystko w pogotowiu! Nie dalej jak jutro — buchnie!

WOJEWODA.

Cóż znowu z tem jutrem! co za jutro? co ma być! przywidzenie.

HETMAN.

Wiem co mówię, tak jest! Wojewoda domyślasz się, ja mam fakty! W chwili gdy to mówimy, spiskowi wśród okrzyków opuścili salę w pałacu Radziwiłłowskim i kupią się pod komendę Małachowskiego...

Wystawże sobie, łajdaki! nicponie, jakubiny, zwołali sobie w pomoc na jutro mieszczaństwo, tłum, szuję uliczną, wojsku wydano rozkazy, aby stanęło pod bronią, armaty zataczają na zamek... Wszystko to dla ogłoszenia jakiejś konstytucyi... Motłoch zamówiony... nabechtany... a nas garść!

WOJEWODA.

Panie Hetmanie! słucham a nie rozumiem... Zkądże to wszystko tak nagle z łona nocy i ciemności, jak *deus ex machina* ma wyskoczyć? Wczoraj jeszcze nie było nic... śmialiśmy się spokojni z ich expektoracyi... a tu nagle zamach! ale to nie może być...

HETMAN.

Klnę ci się, mój wojewodo, że tak jest jak mówię. Daliśmy się osłepić. Jutro koniec wolności polskiej i szlacheckiej i Rzeczypospolitej elekcyjnej, ogłaszają tron dziedzicznym. Elekcyja precz! władza hetmańska w kąt! Wszystkie nasze przywileje na ogień! Górą chłopci, mieszczenie i motłoch, a my porównani z niemi... dla nas — niewola!

WOJEWODA.

Cóż to? piorun? sen? cud? zkąd się to wzięło! Nie rozumiem...

HETMAN.

Dawno was przestrzegałem że spisek knuli i trzymali go w jak największej tajemnicy — dziś dopiero zdradziły się przygotowania.

(*wybuchając*).

Ale czyż myślicie, że ja dopuszczę do tego! Nigdy w świecie! Gwałt przeciw gwałtowi postawię. Mam zawsze wiernych pięćset szabel na zawołanie... Wprowadzę moich rębaczów między arbitrów... niech się z nimi spróbują... Zrobimy rzeź w sali sejmowej, a nie dopuścimy konstytucyi... Wyrznię ich do nogi! Nie dozwolę na ten atentat lub zginę. Znasz mnie, że mi na odwadze nie zbywa...

WOJEWODA (*zamyślony na stronie*).

Dla tego więc Marya chciała mnie jutro w domu powstrzymać! (*głośno*) Ja jeszcze wątpię.

HETMAN.

Tomaszu niewierny... Czyż myślisz że ja stary wróbel! Nie widziałbyś mnie w tej gorączce! Pójdź, przyjdź posłuchaj co się dzieje w mieście... Nikt nie myśli o śnie...

Warszawa kipi, wszystko w ruchu... Mieszczanie się zwołują, jak świt otoczą zamek... Ja zbieram co mam sił...

Kazałem tu przyjść Kurdwanowskiemu, bo mnie pewno w domu szpiegują — posłałem po Kazia, po Zajączka, po tego krzykacza Suchorzewskiego...

Nie damy się zjeść w kaszy... do stu tysięcy djabłów rogatych! Ja sam, ja Hetman stanę na czele na dany znak, jeśli nie będzie innego ratunku — ha! zagramy im w szable, po szlachecku... zagramy, Nie ma rady — Sejm i tak zgwałcony... Siła na siłę...

(Wstaje i przechadza się wachlując chustką).

WOJEWODA *(osłupiały)*.

Gdybym o tem z waszych ust nie słyszał, nie uwierzyłbym zaprawdę.

HETMAN.

Gdzież ten nudziarz Kurdwanowski marudzi! kazałem mu tu przyjść! Wojewodzicowa go bałamuci. Musimy natychmiast wydać rozkazy... do dnia trzeba naszych rębaczy pościągać i nowych zawierbować... musimy jeszcze Suchorzewskiego podłechtać ażeby tragicznie wystąpił.

A tu godzina tak późna! a na mojej jednej głowie wszystko, kochany ambasador romansuje i o niczem nie wie, jak w rogu... Odraportuję to przez Potemkina Imperatorowej...

WOJEWODA.

Lecz — lecz jeśli już tak jest na nieszczęście — czyż będziemy mieli dostateczną siłę po sobie? Jeżeli oni zwołali mieszczan, jeżeli ściągnęli wojsko...

HETMAN *(przerwany)*.

Wszystko to nic nie znaczy — to strachy na lachy. Naprzód, mieszczanie to łyki, czterdziestu ich jeden mój szlachcic w Kamysz zapędzi! to są komparsy... Będą stać kupą, z rękami w kieszeniach i wąsami ruszać. — Wojsko się nie waży wystąpić, ani będzie wiedziało co czynić, a jam przecie jeszcze Hetmanem... i mam tam swoich... Z tymi

zaś ichmość prawodawcami co w sali, damy sobie radę...
Moi rębacze gdy podpisą to lichu wściekłe...

S C E N A IV.

CIŻ, KURDWANOWSKI wpadając żywo, staje przed Hetmanem.

KURDWANOWSKI.

Stawię się, panie Hetmanie — co rozkażecie?

HETMAN.

Wiesz o wszystkim?

KURDWANOWSKI.

Plotą banialuki... nie wierzę w nic... brednie!

WOJEWODA (*żywo*).

Trzymam z jenerałem, brednie.

HETMAN (*do Kurdwanowskiego*).

No to uwierz że mnie, iż minuty sekundy niema do stracenia, bo rewolucya za pasem. Kurdwanowski, zbieraj naszych ludzi zbrój i pój, pój i uzbrajaj — co napadniesz.. Kto w Boga wierzy... a nawet choćby kto w Boga nie wierzył... Każ po oberżach, kafenhauzach zabierać, kogo złapiesz ze szlachty... Werbuj ich co najwięcej na Hetmańskie imie, łap jak na ewangeliczną ucztę po ulicach, płac i zalewaj, płac co chcesz, dawaj czego zażądają... tylko mi zbierz do rana szerpetyń co najwięcej — Stanąć musimy w obrobie swobód Rzeczypospolitej — Kurdwanowski, na tobie polegamy i powierzamy się tobie... Jeżeli ci wolność polska miła... tyś przecie szlachcic... kość z kości.

KURDWANOWSKI (*przerywa*).

I stary, panie Hetmanie... *nobilis sum*...

HETMAN.

Broń że ze mną Rzeczypospolitej, a nie to nas w chłopcy obróć...

KURDWANOWSKI

Na kiedyż szlachta potrzebna?

HETMAN.

Na godzinę czwartą rano...

KURDWANOWSKI.

Na Boga! ale to nie może być... jakże podołamy.

SCENA V.

Ciż, w czasie gdy HETMAN odpowiada, nadchodzą ZAJĄCZEK i Ks. MARSZAŁEK i witają się z WOJEWODĄ, Hetman kończy rozmowę z jenerałem.

HETMAN.

Musimy! Rób co chcesz! Z łózek ich za nogi powy-
ciągać... A gdyby się paliło? Nie pytam o nic — mus...
gwałt... Idź, syp, a szabli mi daj jak najwięcej. Za godzi-
nę będę w domu, pędź ich do mnie, beczkę węgierskiego
postawić w dziedzińcu, trzeba ich zaanimować i podpoić.
Na czczo się na nic nie zdali, jak broń nie nabita...

KURDWANOWSKI.

Ale... ale...

HETMAN.

Niema ale, mówię ci, niema ale... Podchmielonych
poprowadzimy do dnia na salę, żeby pierwsi miejsce zajęli.
Rozsadzić ich trzeba pomiędzy arbitrów i posłów, tak aby
każdy miał jednego lub dwóch jak w garści. Na dany znak
gdy ja szabli dobędę... pojedziemy im po karkach... innej
rady niema... Idź! idź!

(wypycha go gwałtem ku drzewom).

KURDWANOWSKI *(wychodząc)*.

Ale na sejmie dobywać szabel!

HETMAN.

Jaki to Sejm? To zbiegowisko! Wojskiem napychają
cały zamek, mieszczanami podwórza... Siła na siłę — Ja za
to odpowiadam! Idź.

(Kurdwanowski wychodzi).

KS. MARSZAŁEK

·Kochany wuju? Cóż to jest? Jakaś awantura? Nic

nie rozumiem... Wytłumacz mnie... Przecież ja mam zaszczyt być jednym z marszałków tego Sejmu... To mnie obchodzi... Od najlepszej, najweselszej w świecie kolacyjki *tężyżny* naszej oderwaliście mnie... gdy się zaczynała ożywiać — a tu słyszę...

HETMAN.

Kaziu! tyś ślepy i głuchy... Tu gore! Rozumiesz mnie... Gore! Jakże może być, ażebyś ty do tej pory nie wiedział, że te łajdaki, patryoty, regaliści, pieczenierze, jutro rewolucyę robią — a my starzy republikanie z założonymi rękami patrzeć na to będziemy??

KS. MARSZAŁEK (*śmiejąc się*).

Co? kto? gdzie? Wuju kochany... Śni ci się...

HETMAN (*niecierpliwie*).

Twój sejm to robi... Sejm... a ty malowany Marszałku jesteś jak w rogu... i do ostatka niewiesz nic... poprostu kpią z ciebie...

KS. MARSZAŁEK.

Cher oncle, nie wiem nic, bo niema nic...

HETMAN.

Oni się posługując tobą, trzymają cię umyślnie w niewiadomości! Zlituj się! Otwórz oczy — Myśmy w mniejszości — ich spisek w ciszy dojrzał — jutro, powiadam ci — konstytucyę ogłaszają... a ty w rogu! Ale ja ich na szablach rozniosę... w pień wytnę zdrajców! w pień.

KS. MARSZAŁEK.

Bądź co bądź — na sejm z szablami iść — na to niema zgody!

ZAJĄCZEK.

Szablę przeciwko uświęconym osobom posłów narodu! panie Hetmanie...

KS. MARSZAŁEK (*z uśmiechem*),

Kochany wuj pewnie po dobrej kolacyi i trochę zaanimowany.

WOJEWODA (*śmiejąc się*).

Tak... i ja sędzę!

KS. MARSZAŁEK.

Krzycz kochany wuju, jak chcesz, gardłuj, łaj... choćby mnie, ale do szabli się rwać...

HETMAN.

Kaziu! Kolacyi nie jadłem, wina nie piłem, mówię ci na zimno — jest spisek. — Oni gotują wojsko i mieszczan przeciw nam, a my... mielibyśmy im się dać wziąć gołą ręką! A! co nie, to nie. Stawią oni szuję, ja postawię szlachtę zabijaków, którzy rodzonemu ojcu nie pofolgują — Zobaczemy kto wygra!

KS. MARSZAŁEK.

Ani ja w ten gwałt ich nie wierzę, ani tego nie przypuszczam, żeby się co na jutro miało sposobić... A o szablach — mowy być nie może. *Crimen lesae reipublicae*.

ZAJĄCZEK.

I ja też sędzę... w sejmie...

HETMAN (*z niechęcią*),

Jesteście ślepi, pedanci... trutnie... Mniejsza z tem, achować na was nie potrzebuję...

ZAJĄCZEK.

Na głosy nasze zawsze — ale na szable...

KS. MARSZAŁEK.

Niech się wuj uspokoi... ja mam łaskę — obejdziemy się bez szabli.

SCENA VI.

CIŻ. Wpada SUCHORZEWSKI.

Strój polski w nieładzie, porozpinany, twarz rozogniona, wzruszony bardzo, ruchy teatralne... Od progu wyciągając ręce — woła:

SUCHORZEWSKI.

Hetmanie nasz! Ratuoj ojczyznę! Republika szlachecka nad brzegiem przepaści... Okręt tonie! Sterniku ratuj! Kto

w Boga wierzy! ratujcie — nieodrodni synowie... w pomoc przybywajcie!

KS. MARSZAŁEK (*na stronie*).

Powaryowali!

HETMAN (*ściskając Suchorzewskiego*).

Widzisz mnie, cnotliwy Suchorzewski — oto stoję, czuwam, gotówem stać, choćby krew i życie za swobody nasze... — A wy!

SUCHORZEWSKI (*bijąc się ciągle w piersi*).

Wątpicież o mnie? Ja pierwszy stanę na wyłomie, aby za złotą wolność krew przelać! Tak! Jakto? tysiącoletnie prawa i przywileje nasze, których przodkowie krwią się dobijali, których strzegli, jako żrenicy w oku... złota wolność nasza... Elekcyja... co nas czyniła — *electores regum, detrusores tyrannorum*. — wszystko to ma runąć przez garść, zuchwalców, demagogów, konspiratorów, katyliniarzy, popartych motłochem?

HETMAN.

Ślicznie mówisz Suchorzewski, ja zawsze powtarzałem, ty Demostenesowską masz swadę... Ty słowem, ja orężem, we dwu ocalemy rzeczpospolitę.

KS. MARSZAŁEK (*do Zajączka*).

Powiadam ci — powaryowali.

ZAJĄCZEK (*cicho do Wojewody*).

Gdzie Hetman był na obiedzie?

WOJEWODA.

Nie wiem. Nie u mnie.

SUCHORZEWSKI (*rozpatrując się*).

Tak jest, stanę choćby sam jeden przeciw tysiącu tych Katylinów, piersi nastawię i rzeknę...

HETMAN.

Słuchaj! mnie cudowna myśl przychodzi...

SUCHORZEWSKI.

Cóż takiego?

HETMAN.

Pamiętasz Rejtana, kiedy się położył na ziemi i krzyknął: — Po moim trupie chyba przejdziecie! Na ciebie mój Suchorzewski pora, być jutro drugim Rejtanem. Weź na siebie stary kontusz, wal się na ziemię i krzycz...

KS. MARSZAŁEK (*do Zajęczyka*).

Wuj sobie z niego żartuje, czy co?

SUCHORZEWSKI.

Cudowna myśl! Tak jest! Ja będę tego Sejmu Rejtanem — ja! (*bije się w piersi*). Rzucę się im pod nogi... gdy zechcą iść do przysięgi... na ten spisek zbrodniczy... Po trupie moim zawołam... po trupie...

HETMAN.

Okryjesz się pyłem, to prawda, ale i sławą nieśmiertelną..

SUCHORZEWSKI.

Położę się, upewniam, niech mnie biją, zabijają, depczą... nie dopuszczę...

HETMAN.

Kochany Suchorzewski — zrób to... możesz zbawić ojczyznę... a mnie uwolnić od zagrania im w szable... Plackiem na ziemię! Ogromny efekt będzie... tragiczny! arbitrowie do łez pobudzeni... posłowie osłupieli, truchleją — król mdleje... a my Suchorzewskiego, bohatera dnia tego, wynosimy w tryumfie na rękach do świątyni sławy... Staniesz się nieśmiertelnym...

SUCHORZEWSKI.

W obronie naszych swobód szlacheckich gotówem na wszystko. Niech biją, niech mordują.

HETMAN.

Bądź spokojny, zaimponujesz im, do tego nie przyjdzie. Stanęlibyśmy wszyscy w twojej obronie... (*na stronie*): Jednej rzeczy się obawiam, aby śmiechu nie narobił — poczwiwiec...

KS. MARSZAŁEK (*cicho do Wojewody*).

Przewiduję kochany gospodarzu, że w gardle za-

schnie, każ co podać dla odwilżenia. Przy najważniejszych nawet sprawach, napój nie szkodzi...

HETMAN (*dosłyszawszy*).

Rodzony mój siostrzeniec. Co za instynkt trafny i dobre pryncypia! Gdyby je miał w polityce, kochany Kazio!

SUCHORZEWSKI (*zamyślony*).

Tak podniosę ręce i wołać będą: Najjaśniejszy panie! ojczyzny... po moim trupie... Wezmę synka... to jeszcze większe uczynię wrażenie... (*Wojewoda, który był wyszedł ku drzwiom, powraca, a za nim sługa niesie na tacy butelki i kielichy*).

HETMAN (*biorąc jeden z kielichów*).

Ja piję zdrowie Suchorzewskiego... prawego syna ojczyzny! obrońcy swobód naszych szlacheckich. Suchorzesia zdrowie... kochanego...

WSZYSCY (*pijąc*).

Suchorzewskie — Vivat!

KS. MARSZAŁEK (*patrząc na zegarek niespokojnie*).

Czy my ich tam jeszcze przy wieczerzy zastaniemy? Ale od czegoż tężyzna!!

(*Zmiana dekoracyi*).

SCENA VII.

Teatr przedstawia obszerny pokój w gospodzie na Tłumackiem. Stół, kilka krzeseł. Podczaszyc KIERDEJ na łóżku ale ubrany, ręka tylko obnażona, FELCZER klęcząc opatruje ją.

FELCZER.

Rana, proszę jaśnie pana, nie bardzo głęboka, ale kości także ten łotr nadwerżył i naruszył. Zawsze trzeba starania i opatrywania i odpoczynku... Jak się obwinie i zabandażuje, położyć się do łóżka i nie ruszać się.

KIERDEJ.

Żartujesz! I ja i ręka za kilka godzin potrzebni jesteśmy.

FELCZER.

To pan chyba żartuje. Za kilka godzin... Cha! cha! daj Boże, za kilka tygodni... to dopiero!

KIERDEJ.

Mój kochany, rób sobie z ręką co chcesz, ale opatruj i zawiążuj tak, ażebym mógł wyjść za kilka godzin... a co mus to mus... Rozumiesz?...

FELCZER.

Co pomoże mus, kiedy siły zabraknie... Co niemożna to niemożna...

KIERDEJ.

Mówię ci, to konieczne.

FELCZER.

Jeśli się jaśnie pan uprze, to może rękę stracić, gotowo się co przyrzucić.

KIERDEJ.

Tak że mi mów. Rękę mogę stracić, to rozumiem, ale gdy iść potrzeba, pójdę.

FELCZER.

Pan żartuje...

KIERDEJ.

Nie. Bandażuj, proszę, nie żartuję nigdy.

FELCZER.

Z przeproszeniem, jaśnie pana, względem téj poufałości, ale cóż to może być tak pilnego! Tymczasem się gorączka wywinie, rana się zaogni; kto wie co z tego może być! a nuż, uchowaj Boże, gangrena; i rękę można stracić, a niedopuszczaj licha... na zły raz... to i życie.

KIERDEJ (*spokojnie*).

A choćby i życie...

FELCZER (*podnosi głowę zdumiony*).

Jakto, proszę jaśnie pana, a cóż może być być takiego, aby życia warte było?

KIERDEJ.

Jak ci się zdaje?

FELCZER.

U jaśnie panów to tam są inne wyobrażenia, a po naszymu to jabym do łóżka poszedł, bo cóż to takiego może być?

KIERDEJ.

No? jak ci się zda! co droższe nad życie?

FELCZER (*śmiejąc się*).

Juści, z przeproszeniem, jaśnie pana — nie... nie kochanka...

KIERDEJ.

Czasami! ale nie zgadłeś... Daléj co by ci się zdawało?

FELCZER.

Dawniej u nas bywało święta wiara katolicka... a no dziś...

KIERDEJ.

I dziś dla niej życie daje kto wierzy.

FELCZER.

Ależ chwalić Pana Boga, u nas wiary nie prześladują.

KIERDEJ.

Bandażuj no... Nie o wiarę tu chodzi... Czyż nieodgadniesz?

FELCZER.

Cyt! ot kości kawałek wyłazi!

KIERDEJ.

Wyjmuj, zalepiaj... No, cóż ci się zda droższem nad życie?

FELCZER.

Niech już jaśnie pan mnie nie probuje, bo ja niewiem.

KIERDEJ (*po chwili*)

Ojczyzna!

FELCZER (*z dumioną głowę podnosi*).

A! a! Tom ja nie winię żem nie odgadł, proszę jaśnie pana. Ojczyzna to była szlachecka potrawa, której myśmy nigdy nie kosztowali. Ja nie miałem ojczyzny... jam się poddanym urodził, na nieswoim zagonie. Ojczyzną mi był

piec ciepły, gdy sierotę marzył na mrozie — nie miałem nic i nic też kochać nie mogłem.

KIERDEJ.

Bandażuj! — Czarne przypominasz czasy... Lepiej będzie, zobaczysz... Dlatego ja idę w war i walkę z ręką ranną, abyś i ty kiedyś miał ojczyznę...

FELCZER (*zdumiony bardzo*).

I ja?

KIERDEJ.

Byś był wolnym i kochać się ją nauczył.

FELCZER (*zawiażując rękę*).

Już tak jak gotowo... ale jeżeli się pan uprze iść, ruszać się, a broń Boże gorącować — to nie ręczę jak pan powróci. Z taką raną co do kości... ludzie leżą...

Ja tu na pana czekać będę...

(*W chwili gdy się Felczer podnosi, zabiera narzędzia i bandażę, drżwi się uchylają i chłopak przez nie zagląda*).

SCENA VIII.

Ciż i CHŁOPAK w progu.

CHŁOPAK.

Florek! słysz!

FELCZER.

A co tam?

CHŁOPAK.

A no gwałt... do gospody cechowej wszystkich wołają co do nogi. Ino prędzéj... ino prędzéj.

FELCZER.

A cóż się to stało? Dyć noc.

CHŁOPAK.

Albo ja tam wiem! tylko krzyczą pod gardłem, pod wielką karą — kto żyw do gospody... Chodź! chodź!

(*znika*).

KIERDEJ (*uśmiechając się*).

Widzisz, mój panie Florek, że i ty niewiedząc o tem, bronić pójdziesz téj ojczyzny, której nie kochasz jeszcze.

FELCZER.

I ja... a! to trzeba spieszyć..., ale panie, panie... jak pan łaskaw... nie ruszajcie się z domu... to także sprawa gardłowa, rana do kości.

(*Kłania się i wchodzi*).

SCENA IX.

KIERDEJ sam, sparty na ręce w pół leżący na łóżku.

Miałożby być tak źle jak on mi grozi? A! nic! nic Czuję się tylko osłabionym trochę — na to rada kieliszek wina... Niech się rana zaogni, ale ja tam być muszę, bom potrzebny... Pójdę — a! choćby też przyszło położyć głowę na wyłomie, słodko mi będzie spełnić obowiązek. Starego ojca żal by mi tylko było na świecie, zresztą nie mam już czego żałować, ani płakać po kim. Jedną ją kochałem... i ta...

(*zamyśla się*).

A! Być że to może, aby ona srom i wstyd i cały ten blask straciła, którym jaśniała jój dusza? Patrzałem w jój oczy, słuchałem jój głosu, tak nie patrzy kobieta zepsuta, tak nie mówi istota fałszywa. W głosie jój były łzy, we wzroku promień czysty... Niech umrę z wiarą w Maryę moją, i w to że na téj ziemi nie wszystko jest błotem czarnem...

(*Północ bije w dali na zegarze*).

SCENA X.

SŁUŻĄCY ukazuje się w progu.

KIERDEJ.

Idź i spocznij...

SŁUŻĄCY.

Proszę pana... (*zmięszany*).

KIERDEJ.

Co ci jest?

SŁUŻĄCY.

Nic proszę pana, ale (*spuszczając głowę*) ale jakaś kobieta... koniecznie się tu ciśnie...

KIERDEJ (*zdziwiony*),

Kobieta? tu? do mnie? to omyłka! to być nie może.

SŁUŻĄCY.

Nie omyłka... chciałem się pozbyć, ale kiedy wyraźnie mówi nazwisko... i tak prosi... tak nalega... Jeszcze Felczer był gdy czekała... Odejść nie chce...

KIERDEJ.

Któż to może być!... Powiedz, że ranny jestem... że leżę.

SŁUŻĄCY.

A! ja to już wszystko mówiłem, ale to nic nie pomaga. Już mi nawet czerwony złoty dawała, aby ją wpuścić, tyłkom nie wziął...

KIERDEJ.

Kobieta! to coś osobliwszego! a więc proś! któż to być może?

(*Służący odchodzi*).

SCENA XI.

KIERDEJ. W progu ukazuje się postać kobieca, zakwefiona i staje oniesmielona, z ręką na piersi.

KIERDEJ (*podnosi się z trudnością*).

Pani!

KSIEŻNA (*podchodzi z wolna i staje z rękami spuszczone mi jakby zawstydzona nie podnosząc zasłony*)

KIERDEJ.

Pani przebaczy, wstać mi trudno...

KSIEŻNA (*cicho*).

O! nie bierz mi tego za złe!

KIERDEJ (*usiłując się podnieść i upadając osłabiony*).

Głos Maryi? Mogłoby to być? Ty! Pani! Maryo — ty? tutaj? dla mnie?

KSIEŻNA (*podnosząc zastonę*).

Dopiero przed chwilą dowiedziałam się, żeś ranny — tyś ciężko ranny?

KIERDEJ (*z uniesieniem*).

Nie! Jam szczęśliwy! o ranie, o bólu, o wszystkim zapomniałem w téj chwili... Głos twój mnie uzdrowił, spojrzenie wlało siłę...

(*Chce wstać i usuwa się znowu*).

Zmęczony tylko jestem... Chciałbym wstać, aby upaść do nóg twoich...

KSIEŻNA.

Lecz zlituj się! ranny, osłabiony, dla czegoż siedzisz dotąd jakbyś się wyjść gotował... Jam przyszła jak siostra miłosierdzia rannego pilnować.

KIERDEJ.

Dzięki ci — jam już zdrow! a za parę godzin wyjść muszę...

KSIEŻNA.

Z tą raną? z tem osłabieniem? Ale poruszyć ci się trudno?

KIERDEJ.

To nic, to musi przejść — orzeźwię się czemś. Jeśli iść nie będę miał siły, zanieść się każę na salę sejmową... Nie mówmy o tem... Ja cię widzę, ja cię słyszę — o! i jestem szczęśliwy... Przed chwilą myślałem o tobie, szukałem cię wspomnieniami, goniłem sercem, zjawiłaś mi się w téj godzinie uroczystej — abym ci mógł powiedzieć, że cię jedną kochał i kochać będę do zgonu...

KSIEŻNA.

Stanisławie! powiedz mi więcej — powiedz mi, żeś mnie

czuł godną miłości twojej i wierzył, że nigdy nie skałała się płochością. Jam przyszła aby cię widzieć... aby uspokoić się w trwodze... ale razem przynoszę ci to, o czem wiedzieć powinienes...

Jutro... dzień walki... która nie wiem jak się zakończy... jutro zwyciężycie wy, albo...

KIERDEJ.

My musimy zwyciężyć. My mamy za sobą lud, kraj, naród, tysiące, miliony wyzwolone. Walki innej oprócz na słowa nie będzie...

KSIEŻNA.

Mylisz się, Stanisławie — Hetman zbiera swych popleczników, gotują się z szablami, chwalą tysiącami szlachty, która rzuci się na salę, zaleje ją i na dany znak... Przysłałam ci oznajmić o tem — powinniście wiedzieć co wam zagraża.

KIERDEJ (*usiłując się podnieść*).

Zatem chwili nie mam do stracenia. Maryo droga, dzięki ci — daj mi twą rękę, niech ją raz jeszcze do ust przycisnę — Muszę iść, muszę spieszyć.

KSIEŻNA.

Ale ty się podnieść nie możesz?

KIERDEJ (*ciągle pasując się z sobą*).

A! to nic — osłabłem tylko trochę... Straciłem nieco krwi... ale iść muszę, trzeba...

KSIEŻNA.

Stanisławie... to życiu twemu zagraża, a życie twoje mojem jest... Zostań, poślij mnie... pójdę.

KIERDEJ.

Nie, to być nie może! Życie i dla mnie droższem jest niż kiedyś było... a jednak święcić je potrzeba...

(*Wstaje nagle, całuje ją w rękę i na szabli pochwyconej podpierając się chce iść*).

Czy zobaczymy się jeszcze? Czy błysną nam dni szczęśliwsze? Bóg wie, ale tam — Ojczyzna woła!!

Bądź zdrowa! Bądź zdrowa!

KSIEŻNA (*podaje mu rękę*).

Ja idę z tobą... ja cię nie opuszczę...

Zasłona spada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

A K T V.

(Teatr przedstawia ogród saski jak w trzecim akcie. Ulice puste prawie, godzina popołudniowa. Zdala w prawo od strony zamku słyszeć niekiedy ogromny gwar i krzyki zebranych tłumów ludu, cichsze, to znowu głośniejsze).

SCENA I.

ŻEBRAK sam, idzie powoli, przysłuchując się, podpierając na kiju i stojąc. Twarzą się zwraca ku gwarom, potem spuszcza głowę.

Wybiła wielka godzina, ważą się losy — ocalenie lub zguba. Zjadłe obozy wystąpiły do walki przeciwko sobie. Wre i kipi jak w kotle, w którym się przyszłość gotuje... Może szable krwią bratnią się zmażą, może źli zwyciężą, bo oni są zawsze mocniejsi, przebieglejsi, wytrwalsi, a może Bóg litościwy da pocziwym tryumfu choć godzinę.

Mnie czas odpocząć i zrzucić łachmany, włóczęga moja skończona. I jam był choć małym komparsem w wielkim dramacie, a zejść ze sceny niepostrzeżony, nieznany jak na nią wszedłem natrętny i nienawistny.

(Myśli i słucha).

Któż odgadnie co tam szumi? Jednakowo się rozlega patryotyzm i zdrada — mówią jednemi wyrazy u obu na ustach ojczyzna!

Kości rzucone?... Kto zgadnie... Dusza smężna...

(*Ociera czoło*).

Straszna, długa chwila oczekiwania zimnym potem ob-
lewa czoło...

(*Slucha*).

Nic... nic jeszcze...

Co za dzieje ich i moje! Musiałem przywdziawszy tę
suknię zniżyć w ulicę, zbratać się z ludem, zmieszać z tłu-
mem, aby posłużyć tej świętej sprawie raz jeszcze... a po-
tem... pod kamień położyć głowę.

Może też niejedno słowo moje rzucone na piersi ludz-
kie, nie padło na opokę.

(*Slucha*).

Krzyki wrzaski, wrzawa! a głosów tryumfu jeszcze nie
słyszę — poczułoby je serce moje, chociażby uszu nie do-
szły...

Huczy tam, gotuje się... trucizna, czy lekarstwo? śmierć,
czy życie... jeden Bóg wie!...

(*Ambasador ukażuje się w głębi*).

A! i ten tu ciągnie przysłuchując się, oczekując, niepo-
kojąc się jak ja. Zejdę mu z drogi, coś i on dziś niewesołą ma
minę, daj Boże by ona dla nas była dobrą przepowiednią.

SCENA II.

ŻEBRAK z boku. AMBASADOR.

AMBASADOR (*na stronie*).

A! to ta zagadkowa figura, o której mi mówiono tyle,
poznaję ją z rysunku Norblina... to on... Klubowy ów po-
seł co między ludem siał powieści, baśnie i ostre słowa bu-
rząc go przeciw nam... Nikt nigdy nie mógł dociec kogo
te łachmany kryły... a wszędzie go było pełno.

(*Zbliża się ku niemu z wolna*).

Hola! słyszysz?

ŻEBRAK (*z dala*).

Słyszę — a co tam?

AMBASADOR.

Zbliż no się tu...

ŻEBRAK.

Ochoty nie mam wcale, wszak was o jałmużnę nie proszę...

AMBASADOR.

Bardzoś dziś pyszny.

ŻEBRAK.

Byłem takim zawsze.

AMBASADOR.

Myślisz, że cię nie znam! ptaszku? Strzeż się — są co oddawna czuwają nad tobą.

ŻEBRAK.

Jakżebym ja o tém nie wiedział co czuвам nad czuwającymi! A widzi wasza Excellencya, że jakoś się tém zbyt nie trwożę.

AMBASADOR.

Dziś być powinienbyś tam, około zamku... Tam twoja robota...

ŻEBRAK.

Ludu tam dosyć bezemnie, moja robota skończona — czas odpocząć.

AMBASADOR (*ciekawie wpatrując się w niego*).

Nie jesteś żebrakiem choć grałeś tę rolę... Któż ty jesteś zuchwały człowiecze, co mi tak śmiesz odpowiadać...

ŻEBRAK.

Żartobliwy panie hrabio! i ja wam mam to powiedzieć?

AMBASADOR.

Jeśliś skończył robotę, tajemnicy ci nie trzeba.

ŻEBRAK.

Masz wasza Excellencya słuszną, mogę jej powiedzieć kto jestem i zaspokoić ciekawość — Chcesz Wasza Excellencya wiedzieć... służę.

Żołnierz jestem barski z pod chorągwi krzyża, na nogach mam od waszych kajdan rany, na plecach od waszych

pletni blizny, na rękach mróz wasz sybirski mnie piętnował..
Twoi żołnierze zburzyli mi dom i zamordowali rodziców,
twoi bracia zabrali mi dzieci, aby je wychować na wrogów...
Wiesz kto jestem? Patrz! (*podnosi włosy*) wasz Drewicz ob-
ciął mi uszy...

AMBASADOR (*żimno*).

Szkoda że nie z głową razem... To co mówisz jest
zapewne podzięką za to, że cię ze Sybiru puszczono...

ŻEBRAK.

Niepuszczono mnie... poszedłem sam mrąc głodem i ko-
nając od zimna...

Takich jak ja jest tysiące... W każdym domu po was
pamiątka, na każdym sercu rana... ze krwią naszą we wnu-
ki popłynie zemsta... Matki nią dzieci będą kołysać, pójdzie
z pokolenia w pokolenie... Mękami naprzykrzym się Bogu,
aż Bóg nas w końcu wysłucha!

Bądź zdrów! Sługa Waszej Excellencyi...

(*odchodzi*).

SCENA III.

AMBASADOR sam.

AMBASADOR.

Jest jeszcze w tym narodzie siła — choć go rozpusta
i nierząd strawiły — ale opadła na dno... żyje w tych lu-
dziach co w łachmanach chodzą...

(*myśli i słucha*).

Domyśleć się, dosłuchać, odgadnąć niepodobna — Kto
dziś zwycięży — my czy oni? Hetman się tak przechwalał

Ha! w najgorszym razie, choćby chwilowe zwycięż-
two — cóż to znaczy?? niech się pocieszą, oszaleją i zaślepią.

SCENA IV.

AMBASADOR — CHŁOPAK przebiega scenę zdyszany.

AMBASADOR (*zatrzymując go*).

Czekaj, zkąd, dokąd bieżysz! od zamku? nie słyszałeś
co się tam na zamku dzieje...

CHŁOPAK.

Hę? proszę pana — nie mam czasu...

AMBASADOR (*dając mu pieniądze*).

Stój! słowo! Coś tam widział? co ta wrzawa znaczy?

CHŁOPAK (*skrobiąc się w głowę*).

Albo ja tam wiem... Czegoś okrutnie krzyczą na zamku... Huczy w sali jak we młynie... ludzisków stoi kupa i słucha... A któż to tam wie co to znaczy.? Ino się czegoś żrą, żrą... Na raz buchnie jakby kogo ze skóry darli, zagotuje się, to słysząc łkanie, to jęki... to ktoś krzyczy.. to klaszczą... to huczą... to cisza jakby mak siał... Mówią że to tam konstucya się jakaś tak robi i co to dla narodu ma być bardzo dobra rzecz... panowie majstrowie cieszą się a wasy kręcą. Mówią co już rychło ma być gotowa — Kto ich wie? Mnie posłali do dzwonów żeby jak z armat palną, zaraz wszędy na gwałt dzwonili. Padam do nóg pana.. muszę spieszyć, bo to tam nie żart, skórę wyłoją...

(*ucieka co tchu*).

SCENA V.

AMBASADOR później SUCHORZEWSKI.

AMBASADOR.

Strzelać już mają i na gwałt bić we dzwony? Ale kto — Hetman czy oni? Kogóż mają wołać kiedy niemal cała ludność w ulicach!! Lada chwila ktoś przecie z moich z raportem przyjść tu musi...

(*Od strony zamku ukazuje się Suchorzewski, suknie zbrukane, poszarpane, bez czapki, włosy rozrzucone, pochwy bez szabli, pas rozwiązany wlecze się za nim, twarz jak obłąkana.*)

Co widzę! Suchorzewski! On sam! ale w jakimże stanie? co mu się stało... Suchorzewski!

SUCHORZEWSKI.

Kto mnie woła?

AMBASADOR.

Co się to waćpanu stało? co się dzieje na zamku? dla czego wyszedłeś?

SUCHORZEWSKI.

Jam nie wyszedł, wypchnięto mnie! Spisek niepoczciwy bierze górę... Słuchać mnie głupcy nie chcieli... Łotry! zbóje! padłem na ziemię jak Rejtan, powiedziałem im jak Rejtan — po moim trupie... Zrzuciłem z siebie order, zdeptano go nogami... Życie moje i dziecka mego stawilem w ofierze... I wiecie co się stało?

AMBASADOR (*z imno*)..

Cóż się stało?

SUCHORZEWSKI.

Przyjęli to śmiechem! Słyszysz pan... śmiechem! Dziecko mi odebrali, mnie z izby, z pozwoleniem na kułakach wyniesiono, wyparto... O czasy! o obyczaje!

AMBASADOR (*z ironią*).

Jakto. Może być ażeby się wszystko na sucho skończyć miało, a wasz Hetman co się tak odgrażał?

SUCHORZEWSKI.

Hetman tam siedzi jeszcze... blady... z ustami zaciętymi... czeka... nie wiem na co... widziałem go drżącym i pomięszanym... tłum ryczy jak dziki zwierz... przychodził Kurdwanowski po rozkazy... Hetman zmilczał.

AMBASADOR.

Może jeszcze chwila nie nadeszła sposobna... Na mężtwie mu nie zbywa... a w szable brzęknąć lubi.

SUCHORZEWSKI.

Bezprzytomny znalazłem się za bramą... Co począć. Mówcie? mam powracać? sponiewierali mnie... Czy próbować jeszcze..?

(*Ambasador rusza ramionami*).

A! nie! dosyć tego (*pada na ławę*) Manifest zaniosę do grodu! Przed Europą całą zaprotestuje republikanin Suchorzewski... przeciwko zamachowi na wolność republikan-

ską... Nie pozwolimy zadać gwałtu odwiecznym prawom szlacheckim... w chłopów się nie damy obrócić! nie! nie.. nie!

AMBASADOR.

Masz pan słuszość, protestować trzeba... i odwołać się do gwarancyi N. Imperatorowej.

SUCHORZEWSKI.

Hetman jeszcze czeka! kto wie? zagrają może...

AMBASADOR (z ironią).

Jakżeby to się tak na sucho skończyć mogło!

(*Milczenie — przysłuchują się — Zdala od strony zamku słyhać ogromny okrzyk radości*).

AMBASADOR.

Co to być może?

SUCHORZEWSKI (ręką rzucając).

Ryczą tygrysy, pastwią się nad ojczyzną.

(*Okrzyki coraz głośniejsze za sceną*).

AMBASADOR.

Miałoby wszystko być skończonem... A waleczny Hetman co się tak odgrażał?

SUCHORZEWSKI (*wstaje pogrążony w myślach i odchodzi mówiąc sam do siebie*).

Zaprotestujemy po grodach, przed Europą całą... Chmów i łyków stawia z nami na równi! z nami cośmy 900 lat chrześcijaństwa bronili... Nie! tego nie dopuścimy. Apelujemy choćby do samego Boga... Żrenica wolności...

(*Głos coraz cichnie*).

SCENA VI.

AMBASADOR stoi milczący. Od zamku nadchodzi błądy i pomięszany

KURDWANOWSKI.

AMBASADOR (*zachodzi mu drogę*).

Mów panie jenerale, cóż się stało? Więc spisek królewski tryumfuje? I wy daliście się téj garści zastraszyć, jak

dzieci... Gdzież wasz mężny hetman? gdzie sławione szable wasze?

KURDWANOWSKI (*ponuro*).

Nic już nie wiem... Byliśmy w mniejszości, na naszych stu, tysiąc by się podniosło. Przemoc! król, mieszczenie, wojsko... wszystko przeciw nam!

AMBASADOR (*śmiejąc się*).

Stchórzyliście więc panowie moi! Przewidywałem to... choć hetman wczoraj odgrażał się bardzo, ale na czczo odstygł, widzę.

KURDWANOWSKI (*urazony*).

Niech pan hrabia raczy się tam pofatygować sam i spojrz na tę zajadłą tłuszcę co się Sejmem nazywa. Proszę do łoży... spojrz pan na ten tłum rozgorączkowany, zajadły, gotów zetrzeć na miazgę ktokolwiek mu stanie na drodze. — Spójrz pan na twarze groźne, na dłonie drżące i chwytające szabel... a uniewinnisz hetmana. To nie Sejm... To naród, wojsko, szlachta, mieszczenie, lud wszyscy z niemi, a przy nas — garść pijanej zagrodowej szlachty... To nie Sejm — to rewolucja...

AMBASADOR (*zawsze z ironią*).

Nie ma co mówić i zręcznie i mężnie broniliście panowie z hetmanem odwiecznych swobód Rzeczypospolitej... Cha! cha!

KURDWANOWSKI.

Wara tylko gdy przyjdzie do odwetu;

AMBASADOR.

Mówisz pan o odwecie? — nie obejdzie się więc pewno bez wojska imperatorowej JMci. a wówczas odwet nie wasz będzie — ale — mój!!

SCENA VII.

CIŻ. KASZTELANOWA wbiega żywo przestraszona. Spostrzegłszy Ambasadora wprost do niego leci.

KASZTELANOWA (*łamiąc rękę*).

Kochany hrabio! wiesz co się stało? zginęliśmy!... Co

my nieszczęśliwe teraz poczniemy. Niepoczcivi patryoci wzięli górę, hetman się nawet ich zląkł... Ja wyjeżdżam z Warszawy... do Petersburga... Zdrajcami już zowią tych, co byli przyjaciółmi wiernemi Najjaśn. Aliantki naszej! Na ulicy nie można się pokazać! Tłum wytyka palcami.. Jutro, dziś jeszcze jadę do Petersburga!

Słyszysz pan tę wrzawę, hałas, te krzyki zwycięzkie... To król, Senat i posłowie idą przysięgać na tę piękną konstytucyą...

(Za sceną słysząc w oddali wystrzały z dział. Wkrótce potem odzywają się dzwony kościelne, okrzyki i tumult wzrastają.)

Stało się... nie mamy tu co robić! zwyciężyli klubiści.. jakubiści, pieczeniarze... niepoczcivi? Ambasadorze ratuj... dziś jeszcze jadę...

AMBASADOR *(zimno)*.

Uspokój się pani — zwycięzcy dla pięknych pań nie będą okrutni... przypnij pani białą z pąsową kokardę... i wołaj niech żyje Konstytucya!

Cierpliwości... zobaczymy!

SCENA VIII.

CIŻ — KSIĘŻNA, wbiega z rękami podniesionemi, twarz rozpromieniona.

KSIĘŻNA.

Zwycięztwo! zwycięztwo przy świętej sprawie! Górą nasi!..

AMBASADOR.

Co pani mówisz? jak to? więc się wszystko zmieniło?

KSIĘŻNA *(cofając się)*.

Tak! zmieniła się niewola na swobodę! Tak! zwycięztwo Polski niepodległej i wolnej... dzień wielki! Słyszycie bicie z dział, słyszycie radosne dzwonów głosy?

Król, Senat, posłowie przysięgają na konstytucyę...
Te Deum śpiewa cała stolica! Polska ocalona!

AMBASADOR (*z ironią*).

A pani, córka Wojewody cieszysz się z tego?

KSIEŻNA.

Ja jestem córką Polski — jam szczęśliwa — serce mi bije — dzielę się tym tryumfem — czoło mi dumą płonie. Przecież długo kute prysły kajdany, wybiliśmy się z opieki waszej — będziemy wolni, naród cały jak jeden człowiek jednym uczuciem goreje. Niech żyje konstytucya!

AMBASADOR.

I król Fryderyk, który jej bronić będzie!..

KSIEŻNA.

Oddał się pani! przytomność jego w téj chwili mogłaby być chmurą na jasnym niebie... a dla niego niebezpieczeństwem...

AMBASADOR.

Dziękuję za litościwą przestrogę... skorzystam z niej.. w istocie niemam tu dziś co robić... lecz nie rozpaczam, że się jeszcze widzieć możemy...

(*ciszéj*).

Rozważ pani jakie następstwa mieć może tak jawne wyznanie uczuć...

KSIEŻNA.

Następstwa? przyjmuję wszystkie, nie lękam się żadnych — podzielę losy mojego narodu — ale jego uczuć nie zaprę. Dość długo musieliśmy milczeć i zginać się przed wami.

AMBASADOR (*klania się nisko z wyrazem ironii razem z Kurdwanowskim i Kasztelanową w głąb odchodzi — Księżna zostaje sama z oczyma zwróconemi w stronę zamku. W głębi ukazuje się Kierdej, którego omdlałego niosą na ręku kilku posłów... Zawiązana bandażami okrwawionemi, ręka zwisała u boku*).

KSIEŻNA (*spostrzega go i z okrzykiem bieży ku niemu*).

SCENA IX.

KSIEŻNA.

Kierdej! O Boże! co mu się stało?

JEDEN Z POSŁÓW.

Niech się pani nie trwoży, z utrudzenia omdlał, nowy wpływ krwi go osłabił. Nie chciał opuścić swego stanowiska w przepełnionej sali... Obowiązek spełnił do końca... Trzeba co najprędzej opatrzyć mu ranę... Spoczynek go uleczy...

FELCZER (*doganiając niosących*).

Stójcie panowie! To mój pan! A ja mu wczoraj mówiłem żeby w domu został... ale on mi odpowiadał tylko — ojczyzna a ojczyzna!

Niech go panowie na ławie złożą... ja go ocucę i opatrzę, wszystko co trzeba mam przy sobie.

(*Kierdeja sadzają na ławie, Księżna przybliża się, przykłada i bierze go za drugą rękę — Kierdej otwiera oczy*).

Gdzie jestem? Co to jest? Mówcie mi... oni czy my zwyciężyliśmy. Żyje Polska czy zginęła?

POSEŁ.

Konstytucya obwołana...

KIERDEJ.

Prowadźcie mnie tam... ja chcę być tam... choćby umrzeć na wyłomie. Zaklinam was... prowadźcie mnie tam.

(*Chce wstać i spostrzega Księżnę*).

KSIEŻNA.

Uspokój się panie Stanisławie. Słyszysz dzwony, bicie z dział... wesole ludu okrzyki... Zwyciężyliśmy! Król i naród przysięga na konstytucyę...

KIERDEJ.

A! teraz mogę umierać spokojny...

KSIEŻNA.

Nie, teraz potrzeba żyć i bronić uchwały którąście ogłosili, żyć dla kraju!

KIERDEJ (*cicho, patrząc na nią*).

A! pani, z ust waszych wiadomość o tryumfie stokroć słodsza mi jest jeszcze... powtórz ją pani... niech słucham.

KSIĘŻNA.

Ja i wszystkie nieodrodne Polski dzieci cieszymy się i radujemy spolem, serca wszystkich biją zgodnie. Niema między nami nikogo, któryby nie wołał z radością: Niech żyje konstytucya!

KIERDEJ.

A! życie mi powraca!

KSIĘŻNA.

Wracaj do domu, panie Stanisławie — wszystko skończone... możecie odpocząć bez trwogi...

KIERDEJ (*wysłuchując się*).

Tylko chwilę, dozwólcie mi się nasłuchać tych harmonijnych, słodkich, serdecznych ludu głosów... Dawno, ach dawno żadna nam pieśń tryumfu nie brzmiała... te głosy wielkim hymnem chwały Bożej płyną w niebiosy... Cnota zwyciężyła.

(*Thumy z okrzykami, cechowi z chorągwiami, mieszczanie, szlachta, wyrzucając czapki wchodzą na scenę, która się napelnia ludem.*

KIERDEJ (*podtrzymywany przez Księżnę i przyjaciół wychodzi. Słysząc coraz głośniejsze strzały, dzwony i głosy.*

Niech żyje konstytucya!

Król z narodem! Naród z królem.

(*Thum wchodzi z wolna w głąb sceny, a na przodzie ukazuje się na kiju sparty Żebak.*

ŻEBRAK.

Bogu niech będzie chwała na wieki! (*uchyla głowę*).
Polska odrodzona ocaleje...

Zapiszcie ten dzień wielki w rocznikach narodów —

dzień pamiętny trzeciego Maja! obalić może zdrada i prze-
moc dzieło jego, lecz pamięć starczyć będzie przez wieki n-
żywienie nas wiarą i nadzieją (*podnosi rękę*). Vivat trzeci
Maj!!

(*Tłum zdala powtarza okrzyk*).

Zasłona spada.

KONIEC.





SZKICE SPOŁECZNE I LITERACKIE

wychodzą co Sobotę w formacie 1 1/2 arkusza druku, oprócz powieściowego dodatku.

Szkice są zasilane pracami najznakomitszych autorów.

Prenumerata półroczna z przesyłką wynosi 4 złr. 50 c.

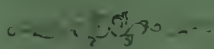


Biblioteka „Szkiców” :

1. Wiara i Wiedza przez Dra Żulińskiego . . . 60 c.
2. Żyd, przez Asnyka (E-ly) 75 „
3. Talmud i Żydzi, przez L. S. W. 50

Oprócz tego wyszły nakładem wydawnictwa „Szkiców” :

- Provani. Młodość Juliusza Cezara 3 złr. —
- Andersen. Malowanki 60 c.



Biblioteka Raczyńskich

JIK **513**



JIK0513